

Powiat



Nr 7-8 (173-174), Lipiec-Sierpień 2015
Rok XV * ISSN 1730-7686

ŚLUPSKI

Prezydencki start
Uwalnianie energii
Jak Przemek znalazł żonę
Morze to jeden ze skarbów

Czy gminę Smołdzino czeka bankructwo?

Teatr dwóch światów
Szczególnie kocha anioły
O Polsce – bez Polaków
Łódzkie klimaty

Wieś Tworząca





70-LECIE SZKOŁY POLICJI W SŁUPSKU
SŁUPSK, LIPIEC 2015



**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

„Zgoda buduje, niezgoda rujnuje” - to jedno z najbardziej znanych i często używanych polskich powiedzeń. Jego uniwersalność polega na tym, że ma zastosowanie praktycznie do wszystkich sfer życia związanych z kontaktami międzyludzkimi. Zgoda z rodziną, przyjaciółmi czy sąsiadami to podstawa szczęśliwego życia.

Czy powiedzenie to ma również zastosowanie w działalności publicznej? Oczywiście, że tak! Bez zgody bowiem nie ma współpracy, a to dzięki współpracy można osią-

gać to, co na pozór wydaje się nie do zrealizowania. Jako przykład podam największą inwestycję drogową jaką realizuje powiat słupski w tym roku. Jest nią przebudowa ulicy Wczasowej w Ustce.

Ustka to wizytówka całego regionu, a stan ulicy Wczasowej odstraszał turystów i spędzał sen z powiek mieszkańcom, którzy byli zmuszeni do korzystania z nierównej i podziurawionej nawierzchni. Wstępne koszty przebudowy tej ulicy zostały oszacowane na ok. 9 mln zł. Kwota ta oczywiście przewyższała możliwości powiatu. Naj-

wiejszym beneficjentem inwestycji będzie samorząd Ustki, którego władze zgodziły się dołożyć środki finansowe i poprowadzić procedurę przetargową. Swoje wsparcie finansowe zadeklarował również samorząd gminy Ustka oraz prywatny inwestor. W ten sposób na mocy porozumienia realizowana jest tak potrzebna i długo oczekiwana inwestycja drogowa. Nie byłoby jej, gdyby nie współpraca oparta na wspólnym celu.

Z ciekawością, ale i pewnymi obawami obserwuję odnawiającą się ostatnio próbę przejęcia przez

Słupsk części terenów należących do sąsiednich gmin. Wzrost liczby mieszkańców gmin podmiejskich - wiejskiej Słupsk i Kobylnica kosztem Słupska ma miejsce.

Jest to jednak tendencja widoczna w całej Polsce. Próby administracyjnego przejęcia terenów należących do innego samorządu są nie tylko trudne do przeprowadzenia i wymagają zgody władz gmin, ale przede wszystkim powodują obniżenie zaufania i chęci do współpracy w przyszłości. A trudno dzisiaj wyobrazić sobie rozwój regionu bez współpracy samorządów.

W numerze:

2 Samorządy opracują koncepcję rozbudowy drogi nr 21

2 Polsko-niemiecka zabawa w miasto

3 Wsparcie dla zdolnych z Pomorza

3 70. urodziny Szkoły Policji

3 Podsumowano Olimpiadę Dzieci i Młodzieży

4 Czy gminę Smołdzino czeka bankructwo?



Piękna i zarazem najbiedniejsza gmina ziemi słupskiej znalazła się w sytuacji, w której teraz decyduje się jej status finansowy. Gmina Smołdzino ma deficyt budżetowy, jest obciążona dużą spłatą zadłużenia i bez pomocy z zewnątrz nie pokona swoich problemów.

6 Wojewódzkie Dożynki w Swotowie

6 Prezydencki start



Po latach w historii utrwalił się to jedno: buczano, gdy prezydent w inauguracyjnym przemówieniu mówił o biedzie dzieci w zubożonych regionach Polski.

7 W których gminach żyje się najlepiej?

8 Uwalnianie energii

10 Razem łatwiej, lepiej, taniej

12 Jak Przemek znalazł żonę

14 Czy Bałtykowi grozi katastrofa?

15 Morze to jeden ze skarbów

16 Turyści nas odwiedzają

17 Z miłości do... życia

18 Karta z „Kroniki Objazdy”

20 Teatr dwóch światów

23 Szczególnie kocha anioły



Bardzo lubi rzeźbić, struga różne postacie pastuszków, dziewczyn w pięknie drapowanych sukniach, świętych, a najwięcej aniołów. Anioły to jej ulubiony temat, stał się już jej obsesją.

26 Witkacy na wakacjach w Słupsku



„Witkacy - za życia związany z Zakopanem jest od dawna kojarzony z tym miastem. W Słupsku stał się rozpoznawalnym symbolem kulturalnym, a słupskie muzeum - domem Witkacego.

28 O Polsce - bez Polaków



Europę podzielono na dwa wrogie obozy militarne i gospodarcze, które rozdzieliła „żelazna kurtyna” na wiele lat, a Polska znalazła się wówczas w zasięgu bloku państw komunistycznych. Tak przedstawiają się dzieje Polski, które we współczesnej historii przyjęto się określać jako wynik układu post jałtańskiego, który przetrwał przeszło pół wieku.

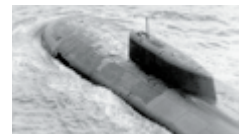
32 Łódzkie klimaty



Miasto Łódź poszukuje nowej tożsamości, łączy swoją bogatą przeszłość z budowaniem przyszłości.

36 Legenda „Cieślaków” trwa

38 Śmierć „Kurska”



„Kursk” (K-141) był „atomowym” okrętem podwodnym typu 949A „Antej” (oznaczonego w kodzie NATO literą O jak Oscar II). W marcu 1990 roku w stoczni „Siewmasz” w Siewierodwińsku położono stępkę pod jego kadłub. Wodowanie nastąpiło 16 maja 1994 roku. Otrzymał nazwę miasta, koło którego w lecie 1943 roku doszło do największej bitwy pancernej II wojny światowej. Zatonął 12 sierpnia 2000 roku.

Samorządy opracują koncepcję rozbudowy drogi nr 21

9 lipca w Urzędzie Gminy Słupsk podpisano umowę na opracowanie koncepcji rozbudowy drogi krajowej nr 21 biegnącej przez Ustkę, gminę Ustka, Słupsk, gminę Słupsk i gminę Kobylnica.

Umowę podpisały władze wszystkich samorządów, przez które będzie biegła droga, w tym powiatu słupskiego. Jej podpisanie ma przyspieszyć przebudowę tej ważnej trasy komunikacyjnej. Stosowane decyzje w tej sprawie zapadły bowiem już w 2008 roku, kiedy to radni Sejmiku Województwa Pomorskiego zgodzili się na zmianę kwalifikacji odcinka drogi wojewódzkiej nr 210 Ustka - Słupsk na drogę



Fot. Archiwum

krajową. Miała ona pozwolić na szybką modernizację tego odcinka za środki pochodzące z budżetu państwa, co między innymi obiecano mieszkańcom w ramach rekompensaty za budowę tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Ponieważ od kilku lat

niewiele zrobiono w tym kierunku, samorządy wzięły sprawę w swoje ręce. stąd podpisanie umowy. - Dzięki umowie będziemy gotowi z kompletną dokumentacją, jeśli zapadną konkretne decyzje odnośnie przebudowy trasy 21 - mówiła

na spotkaniu samorządowców Barbara Dykier - wójt gminy Słupsk.

Szacowane koszty opracowania koncepcji, uwzględniającej budowę ciągu pieszo-rowerowego i uzyskanie decyzji środowiskowej to około 560 tys. zł, w tym 60 tys. stanowią będą koszty map do celów projektowych. W podziale na poszczególne samorządy koszty rozłożą się następująco: gmina Kobylnica - 55 tys. zł, Słupsk - 55 tys. zł, gmina Ustka - 130 tys. zł, Ustka - 95 tys. zł, gmina Słupsk - 165 tys. zł, powiat słupski - 60 tys. zł. Zależą one od długości odcinka drogi przebiegającej przez daną jednostkę administracyjną. Środki powiatu mają być przeznaczone na koszty opracowania map do celów projektowych. (P.L.)

Polsko-niemiecka zabawa w miasto

W dniach 26 - 27 lipca br. w partnerskim powiecie Herzogtum Lauenburg (Niemcy) delegacja samorządowców powiatu słupskiego wzięła udział w Mölln w tzw. Dniu VIP-a zorganizowanym w ramach realizowanego projektu „Zabawa w miasto - dzieci budują swój własny świat”.

nizowanego miasteczka) zgłaszali się do urzędu pracy, aby otrzymać pracę, za którą dostawali wynagrodzenie. Zarobione „Till-Talary” mogli wydać na własne potrzeby. W tym roku po raz pierwszy od otrzymywanego wynagrodzenia potrącani byli podatek, tak aby uświadomić

dzieciom, że jest on istotnym źródłem dochodów gminy czy też całego państwa. Tak jak dzieje się to w demokratycznym społeczeństwie, mieszkańcy Tillhausen przejmowali też różne funkcje i zadania, wybierali swojego burmistrza, a także obradowali w parlamencie.

Na Dzień VIP-a do miasteczka przybyli przedstawiciele władz miasta Mölln, powiatu Herzogtum Lauenburg, powiatu słupskiego, sponsorzy oraz organizatorzy miasteczka. Starosta słupski z przewodniczącym Rady Powiatu spotkali się ze starostą powiatu Herzogtum Lauenburgu, dr Christophem Magerem i przewodniczącym Rady Powiatu - Meinhardem Füllnerem. (A.K.)

Starosta słupski Zdzisław Kołodziejewski oraz przewodniczący Rady Powiatu Jan Olech spotkali się z dziećmi z powiatu biorącymi udział w projekcie. W tym roku do Niemiec wyjechało dwadzieścioro małych przedstawicieli gmin: Ustka, Słupsk, Potęgowo i Smołdzino pod opieką dwóch germanistów. Dzieci z powiatu wzięły udział w projekcie już po raz czwarty. Zabawa w miasto daje im możliwość poznania podstawowych zasad funkcjonowania miasta, umożliwia również zrozumienie zasad demokracji i poszerzenie wiedzy o niej.

Każdego dnia mali mieszkańcy Tillhausen (nazwa zorga-



Fot. A. Czunkin von Krasowicki

Wsparcie dla zdolnych z Pomorza

Wicemarszałek województwa pomorskiego Krzysztof Trawicki podpisał ze starostami oraz rektorami pomorskich uczelni listy intencyjne o wspólnej realizacji przygotowywanego nowego projektu „Zdolni z Pomorza” i chce na wsparcie uzdolnionej młodzieży przeznaczyć 32 mln zł.

Przygotowywane przedsięwzięcie ma być kontynuacją realizowanego

w latach 2007 - 2013 za środki unijne innowacyjnego projektu pn. „Pomorskie - dobry kurs na edukację. Wspieranie uczniów o szczególnych predyspozycjach w zakresie matematyki, fizyki i informatyki”, a w latach 2014 - 2015 - za środki samorządów powiatowych (w przypadku niektórych powiatów także gmin). Listy intencyjne są kolejnym krokiem do systemowego wspierania najzdolniejszych uczniów z naszego województwa. Korzysta-

jąc z doświadczeń realizowanego projektu, który wsparciem objął już ponad 1500 uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych szczególnie uzdolnionych z matematyki, fizyki i informatyki oraz 200 nauczycieli, zamierza się teraz poszerzyć go o uczniów uzdolnionych w przedmiotach przyrodniczych i humanistycznych. Szerszy ma być też katalog form wsparcia - oprócz dodatkowych zajęć pozaszkolnych, obozów naukowych,

spotkań akademickich i opieki mentorskiej planuje się również zajęcia przygotowujące do olimpiad przedmiotowych, warsztaty naukowe i wizyty w innowacyjnych zakładach pracy oraz owoczesnych laboratoriach. Wsparcie otrzymają także nauczyciele pracujący z uczniami zdolnymi.

W Regionalnym Programie Operacyjnym Województwa Pomorskiego na lata 2014 - 2020 zaplanowano 32 mln zł na Zdolnych z Pomorza, a w przygotowywanym projekcie mają wziąć udział wszystkie powiaty województwa. (P.L.)

70. urodziny Szkoły Policji

Z udziałem komendanta głównego Policji gen. insp. Krzysztofa Gajewskiego obchodzono 18 i 19 lipca jubileusz 70-lecia Szkoły Policji w Słupsku. Uroczystościom towarzyszył festyn i spotkanie kadry w teatrze.

Obachody rozpoczęły się sobotą tzw. „Dniem Otwartej Szkoły”, na zakończenie którego na głównym placu apelowym odbyła się część oficjalna. Wśród ważnych gości, oprócz komendanta głównego Policji, obecny był jeden z najstarszych absolwentów Szkoły - płk. Franciszek Szydełko, który w 1946 roku ukończył Szkołę Przewodników Pół-

Służbowych. Funkcjonowała ona w ramach ówczesnego Centrum Szkolenia Milicji Obywa-

telskiej. Komendant Główny Policji wręczył słupskim policjantom awanse na wyższe stopnie i stanowiska służbowe.

Drugiego dnia w kościele Mariackim odprawiona została

msza święta z pełnym ceremoniałem, której przewodniczył ordynariusz koszalińsko-kolobrzewski, bp Edward Dajczak. Oprawę muzyczną zapewniła Orkiestra Reprezentacyjna Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. W godzinach popołudniowych kadra zebrała się w Nowym Teatrze na spektakl teatralny.

Z okazji święta szkolny Zarząd Klubu Honorowych Dawców Krwi wyszedł z inicjatywą zorganizowania akcji honorowego oddawania krwi, która będzie prowadzona do końca roku. W jej ramach członkowie Klubu będą przeprowadzać pogadanki promujące honorowe krwiodawstwo oraz koordynować zbiorowe oddawanie krwi przez kadrę i słuchaczy Szkoły Policji. (s)



Fot. J. Maziejuk

Podsumowano Olimpiadę Dzieci i Młodzieży

W siedzibie starostwa podsumowano XVI Powiatową Olimpiadę Dzieci i Młodzieży Szkół Podstawowych i Gimnazjalnych. Tradycyjnie wzięto w niej udział ponad 4 tysiące młodych sportowców i sportmenek.

Wolimpiadzie uczestniczyły dzieci i młodzież ze wszystkich szkół powiatu. Przeprowa-

dził ją Słupski Szkolny Związek Sportowy. W klasyfikacji dziewcząt szkół podstawowych pierwsze miejsce zajęła Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce, drugie - Szkoła Podstawowa we Wrześciu, a trzecie - Szkoła Podstawowa w Motarzynie. W klasyfikacji chłopców najwięcej punktów zdobyła Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce, następnie Szkoła Podstawowa w Smołdzinie i Szkoła Podstawowa w Jezierzycach.

W klasyfikacji generalnej szkół podstawowych zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce przed Szkołą Podstawową w Smołdzinie i Szkołą Podstawową w Jezierzycach.

W klasyfikacji dziewcząt gimnazjów pierwsze miejsce zajęło Gimnazjum w Ustce, drugie - Gimnazjum w Kobylnicy, a trzecie - Gimnazjum w Potęgowie. W klasyfikacji chłopców najwięcej punktów zebrało Gimnazjum w Kępicach, na-

stępnie Gimnazjum w Ustce i Gimnazjum w Kobylnicy.

W klasyfikacji generalnej gimnazjów zwyciężyło Gimnazjum w Ustce przed Gimnazjum w Smołdzinie i Gimnazjum w Kobylnicy.

W klasyfikacji gmin zwyciężyła Ustka przed gminą Słupsk i gminą Główny.

Olimpiadę przeprowadzono w kilkunastu dyscyplinach sportowych. Uczniowie mieli zagwarantowaną pomoc trenerską, medyczną, a także ciepły posiłek. Finansowo wsparły ją samorządy gminne z powiatu. (T.J.)



Czy gminę Smołdzino czeka bankructwo?

Piękna i zarazem najbiedniejsza gmina ziemi słupskiej znalazła się w sytuacji, w której teraz decyduje się jej status finansowy. Gmina Smołdzino ma deficyt budżetowy, jest obciążona dużą spłatą zadłużenia i bez pomocy z zewnątrz nie pokona swoich problemów.

Smołdzino to jedna z najbardziej zasłużonych gmin w Polsce w dziedzinie ochrony przyrody, posiada na swoim obszarze 65 proc. powierzchni Słowińskiego Parku Narodowego i z tego faktu ponosi ciągle niezasłużone koszty społeczne i ekonomiczne. Mimo istnienia od 2003 roku zawartego porozumienia z Słowińskim Parkiem, które dotyczyło poszerzenia granic Parku kosztem obszaru gminy i stanowiło również podstawę do otrzymania rekompensaty, nigdy te zobowiązania nie zostały zrealizowane.

Najważniejsza jest sprawa nieściągalności podatków, która ma już kilkuletnią historię. Na podstawie art. 7 ust. 1, pkt 8 oraz art. 7 ust. 4 ustawy z dnia 12 stycznia 1991 roku o podatkach i opłatach lokalnych, gminie Smołdzino należy się roczna rekompensata utraconych dochodów z tytułu zwolnienia Słowińskiego Parku Narodowego z płacenia podatku od nieruchomości. Zasadę zwrotu określono rozporządzeniem Ministra Finansów. Zgodnie z regulacjami zawartymi w tym rozporządzeniu obowiązuje następująca procedura: gmina na specjalnym wniosku wykazuje wysokość utraconych dochodów i przedkłada ten wniosek do właściwego wojewody w terminie do 31 marca roku następującego po roku, w którym nastąpiło zwolnienie z opłacania podatku od nieruchomości. W ten sposób wykazywane są faktyczne roczne skutki zwolnień ustawowych, wynikające z decyzji i deklaracji podatkowych za dany rok. Tak na podstawie złożonych przez SPN deklaracji podatkowych gmina co roku wylicza kwotę rekompensaty w wysokości kilkunastu milionów złotych, a otrzymuje zaledwie nieco ponad 200 tys. złotych, gdyż wojewoda nie uwzględnia aspektu prowadzenia działalności gospodarczej przez SPN.

Jak faktycznie kształtują się finanse Smołdzina? Budżet gminy w 2015 roku jest na bardzo niskim poziomie. Dochody mają wynieść 13,8 mln zł, a wydatki niewiele ponad 13 mln. Różnica w kwocie ok. 787 tys. zł w całości została zaplanowana na spłatę rat zaciągniętych pożyczek i kredytów. Zadłużenie na koniec czerwca wyniosło łącznie z odsetkami prawie 6,7 mln zł. Mimo tak dużego zadłużenia sięgającego ponad 50 proc. kwoty budżetu, gmina nie będzie jeszcze bankrutem, ale istnieje ciągle problem znalezienia

Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

środków na zadania celowe, m. in. na oświatę - 4 mln zł i pomoc społeczną - ok. 2,7 mln zł. Obciążenia zadłużeniem wynikają z poprzednich lat, jako wynik z przeinwestowania gminy, a trudności zbilansowania budżetu to brak pełnych dochodów z podatków od Słowińskiego Parku Narodowego.

Gmina została wezwana przez Regionalną Izbę Obrachunkową w Gdańsku do rozważenia możliwości wprowadzenia dwuletniego programu naprawczego. W Urzędzie Gminy nastąpiły już redukcje kadrowe i ograniczenia finansowe oraz zostały wdrożone, uzgodnione z Radą Gminy, działania nad restrukturyzacją jednostek gminy. Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji jest przeznaczone do likwidacji. Pozostaną tylko funkcjonalne świetlice wiejskie i biblioteki. Następuje przyjęcie gospodarki wodno-ściekowej od Zakładu Usług Wodnych Sp. z o.o. w Słupsku.

Spotkałem się dwukrotnie z Arkadiuszem Walachem - aktywnym wójtem gminy, który energicznie chce wykorzystać wszelkie możliwości prawne i samorządowe, aby wprowadzić gminę na ścieżkę wzrostu. Rozmawialiśmy o podjętych już działaniach zmierzających do uporządkowania zaszczości.

Arkadiusz Walach mówi: - Podjąłem działania nagłaśniające problemy gminy Smóldzino, w tej sprawie uczestniczyłem dwukrotnie w spotkaniu z Ministrem i Wiceministrem Środowiska. Wspólnie z mieszkańcami

gminy wziąłem udział w posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu ds. Zrównoważonego Rozwoju Europy. Dwukrotnie spotkałem się z panią premier, której przedstawiłem problemy gminy i moją wizję rozwoju. Zaprezentowałem takie działania, które zmniejszą koszty funkcjonowania jednostek organizacyjnych, a w przyszłości zwiększą dochody gminy. Dlatego zabiegam o termomodernizację obiektów użyteczności publicznej, wdrożenie projektu fotowoltaiki. Ważne jest też dokończenie budowy szkoły, aby mogła wykorzystać w pełni swoje możliwości zdobycia dodatkowych środków, na przykład poprzez organizację „Zielonych Szkół”.

W planach wójta jest jeszcze ujęta modernizacja infrastruktury sportowej i turystycznej, która ma szczególne uzasadnienie przy zwiększającej się co roku liczbie odwiedzających gminę turystów i przy wzrastającej aktywności organizacji sportowych. Działania te zmierzają do zwiększenia ruchu turystycznego, co ma z kolei zwiększyć dochody gminy. W tym celu zostanie opracowany kilkunastoletni program naprawczy, który za zgodą Regionalnej Izby Obrachunkowej i Ministra Finansów pozwoli na restrukturyzację długu i zaciągnięcie pożyczki z budżetu Państwa.

Zastanawiające jest, że gmina Smóldzino długo czekała na konkretne realizacje. Dopiero nowy samorząd z nowym wójtem przystąpił do zdecydowanego działania. A. Walach uspo-

kaja, że gmina Smóldzino nie będzie bankrutem i nie weźmie udziału w festiwalu obietnic, który nie przynosi żadnego końcowego efektu. Plan całościowy społeczności lokalnej jest jeden - wejście na szybką ścieżkę wzrostu.

Zapytałem wójta, czy są szanse na zrealizowanie chociaż częściowych obietnic pani premier jeszcze w bieżącym roku? Odpowiedział: - Myślę, że jest zrozumienie i dobra wola pomocy ze strony Pani Premier. Obecnie czekamy na odpowiedź, które z proponowanych przez nas przedsięwzięć uzyskają poparcie. Jesteśmy w tym nieszczęśliwym położeniu, że realizując budżet zgodnie z wytycznymi RIO, nie mamy możliwości podjęcia żadnych działań, czyli właściwie nie możemy nic zrobić. Posiadamy jednak wykonane dokumentacje, które pozwalają w krótkim czasie, mam nadzieję, że do końca roku, wykonać kilka potrzebnych inwestycji.

Można tylko dodać, że zrównoważony rozwój to nie jednostronna zasada o ochronie środowiska, to także zrozumienie potrzeb życiowych społeczności lokalnej. Stąd Ministerstwo Ochrony Środowiska i podległa temu resortowi Dyrekcja Słowińskiego Parku Narodowego powinny też respektować podstawowe oczekiwania społeczności lokalnej. Przyjęte już wzajemne relacje zawarte w porozumieniu z 2003 roku, powinny zostać objęte aktualizacją i najważniejsza jest ich konsekwentna realizacja.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Wojewódzkie Dożynki w Swołowie

Powiat słupski będzie 13 września br. współorganizatorem Dożynek Województwa Pomorskiego, które odbędą się w Swołowie na terenach tamtejszego Muzeum Kultury Ludowej Pomorza.

Dożynki to doroczne święto plonów, podziękowanie rolnikom za ich pracę, zebrane plony zbóż. Tak było w przeszłości i tak jest dzisiaj, chociaż dożynki często przez samych organizatorów mylone są z festynem, czyli ogólną zabawą, na którą zaprasza się nie tylko całe wsie, a także mieszkańców miast. Współczesnych dożynek nie organizują już, jak dawniej, właściciele ziemscy, gospodarze, a władze gmin, powiatów, województw. Tak jest od lat. Odwróciły się role. To władze, a nie właściciele plonów, dziękują zniwiarzom, za zbiory, których ma starczyć dla wszystkich.

Tegoroczne dożynki rozpoczyna się o godz. 11-ej mszą świętą w kościele w Swołowie, którą koncelebrować będzie Edward Dajczak - biskup Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Po mszy korowód dożynekowy przejdzie do Muzeum Kultury Ludowej, gdzie odbędą się główne uroczystości. W programie przewidziano m.in. wręczenie odznaczeń państwowych, rozstrzygnięcie wojewódzkiego konkursu na wieniec dożynekowy, wojewódzkiego konkursu na najlepsze gospodarstwo ekologiczne, wręczenie statuetek „Bursztynowego kłosa”, pokaz chleba i występy artystyczne. Zaprezentuje się m.in. Orkiestra z Gniewina, a gwiazdą wieczoru będzie zespół The Postman. Oczywiście, nie zabraknie stoisk kół gospodyń wiejskich, pokazu płodów rolnych i sprzętu rolniczego. Dożynki odbędą się z udziałem innych powiatów, ich delegacji, władz itp.

Organizatorzy serdecznie zapraszają do Swołowa, szczególnie tych, którzy pracowali przy zbiorach zbóż i przyczynili się do tego, by w tym roku i następnym chleba nikomu nie zabrakło! (z)

Prezydencki start

Po latach w historii utrwali się to jedno: buczano, gdy prezydent w inauguracyjnym przemówieniu mówił o biedzie dzieci w zubożałych regionach Polski.



Fot. L. Plewnia / wikimedia.org

Czego jak czego, ale temperatury politykom w sierpniu zazdrościć się nie da. Taki zniwiarz na przykład da sobie radę, bo do kabiny gorącego jak piec ciągnika w upał nie wejdzie, poczeka i kombajnem wejdzie na swoje pole nocą. A polityk nocą swojego „poletka” uprawiać nie będzie, bo wyborca śpi wtedy smacznie i ma w nosie, co dzieje się w polityce.

Polityk musi wyglądać zawsze świeżo, a wszelkie wystąpienia publiczne muszą się odbywać zgodnie z obowiązującą procedurą i etykietą. Garnitur, biała koszula i ten cholerny (!) krawat, który wiąże wszystko w całość, to atrybuty nie do odrzucenia. No chyba, że jest się znanym łamaczem konwenansów, jakim kiedyś był na przykład Jacek Kuroń, a teraz jest popularny ostatnio Paweł Kukiz. Chociaż także i oni, i im podobni, sote przecież w upały przed publicznością nie występowali.

Nosiłem i ja kiedyś mundur i wiem, co to znaczy być ciągle zapiętym pod samą szyję, a już do tego w upały mieć gardło ściśnięte krawatem. Co to znaczy w sali pozbawionej klimatyzacji

i wypełnionej po brzegi ludźmi stanąć za mównicą, przy mikrofonie, czy po prostu en face zmierzyć się z publiką.

Coś za coś - jak zwykło się mawiać. Chcesz być popularny, chcesz, by cię podziwiali, jesteś publiczny, to znoś te mitręgi, poć się i torturuj. Za politykę, za popularność, za bycie człowiekiem publicznym też trzeba płacić.

Za brak przewidywalności i niedostatek kindersztuby w polityce zapłacił już nie jeden. A żeby daleko nie szukać, posłużę się przykładem prezydenta Bronisława Komorowskiego, którego 5 sierpnia warszawiacy hucznie pożegnali, by już w kolejnym dniu zgodnie z odwieczną zasadą: „Umarł król, niech żyje król”, powitać jeszcze goręcej wstępującego pod prezydencki żyrandol Andrzeja Dudę.

Jako poeta powiem: Etykieta to rzecz święta, zwłaszcza kiedy czcimy prezydenta. A jako publicysta podkreślę, że nie o samą osobę tu chodzi, ale urząd. Urząd, który Najjaśniejszą Rzeczypospolitą reprezentuje. Jak bowiem nas szanować będą obce nacje, jak nas czcić będą poganie, gdy własnych bożków sami nie uszanujemy.

Upał upał, od pogody się nie odizolujemy, ale od złych obyczajów owszem, możemy, a nawet powinniśmy skutecznie się izolować. Kindersztuba to coś jednak, co wynosi się z domu, to dobre wychowanie, uszanowanie obyczajów, to także umiejętność trzymania języka za zębami wtedy, gdy nas jęzor świerzbi, a mleć nim nie wypada. To trzymanie fasonu w sytuacji, gdy nas oceniają za kulturę osobistą.

Polityków jakich mamy, każdy widzi. Sami zresztą się do tego przyczyniliśmy, bo żeśmy sobie ich wybrali. I tak będzie zawsze. Jak i zawsze będzie też tak, że „Nie wszystko złoto co się świeci” - nie zawsze da się do końca przeniknąć drugiego człowieka, wyborca często mając wybór, tak naprawdę wielkiego wyboru nie ma, wybiera z tego, z czego mu lista krajo-wa podsunie. A bywa, że na przykład ładna twarz w telewizji wcale w rzeczywistości nie musi być inteligentna, czy też naszym ideałom wierna.

Oczywiście, że mam na myśli buczenie niektórych posłów podczas inauguracyjnego wystąpienia prezydenta Dudy przed połączonymi izbami sena-

tu i sejm. Tyle uroczystości, tyle ob-
rządów, porządków, zabiegów. Tyle
wysiłków, potu i świątecznych emo-
cji, i co? Po latach w historii utrwali
się to jedno: buczano, gdy prezydent
w swym inauguracyjnym przemówie-
niu mówił o biedzie dzieci w zu-
bożalnych regionach Polski.

Kto buczał? Pamiętacie ten
dowcip ze Stalinem, gdy na sali
ktoś kichnął? - Kto czichnął? - pa-
dło pytanie generalissimusa, na
które nikt nie odpowiedział. Ge-
neralissimus wydał krótki rozkaz
do enkawudzistów: Pierwszy rząd
wyprowadzić! Gdy na zewnątrz
dał się słyszeć huk salwy karabino-
wej, ponowił pytanie: Kto czich-
nął? I tak doszło do ostatniego rzę-
du, gdy wreszcie na pytanie wodza
podniósł się kmiotek i wyznał: -
Generalissimusi to ja kichnąłem.
Stalin popatrzył na niego, uśmiech-
nął się i głośno powiedział: Na
zdrowie, towarzyszu. Na zdrowie.

Wątpię, czy to buczenie wyjdzie
na zdrowie tym co buczeli? Czy tak,
jak kichanie kmiotkowi? Na pewno
będzie zapamiętane na dłużej przez
wyborców. Czy prezydent Duda im
to zapamięta, tego nie wiem?

A propos buczenia. A co? Mo-
że nie ma zubożonych terenów Pol-
ski, nie ma biednych dzieci? Nie
ma biedy w Polsce? Jest jedna zie-
lona wyspa dostatku i jedna opły-
wająca w dostatek partia? Przecież
to pan prezydent zjeździł Polskę
wzdłuż i wszerz podczas swej kam-
panii wyborczej. Był i zobaczył. Na
własne oczy. Nie oczami dziennika-
rzy, polityków, tylko swoimi osobi-
stymi. No to chyba wie, co mówi.

Uf, jak gorąco!, w tej naszej
polityce. Jak gorąco zrobiło się pod
przysłowiowym żyrandolem. No-
wy prezydent dał wiele znaczących
sygnałów i wyborcom i polity-
kom. Wyborcom, że będzie wier-
ny swym obietnicom wyborczym.
Politykom, że mają wspólnie jed-
noczyć Polaków. Że nie zamierza
być strażnikiem żyrandola.

Gorąco, bo teraz jedni będą cze-
kać na to, co się im poprawi, a dru-
dzy: w czym się im pogorszy. Roz-
bieżności interesów zawsze były
inspiracją dla publicystów, więc za-
pewne będzie o czym pisać w najbli-
szej przyszłości. Mniemam, że będą
to dla społeczeństwa dobre sprawy.

**Jan Stanisław Małowski,
Naćmierz**

Ranking gmin przyjaznych
mieszkańcom powstał na pod-
stawie analizy parametrów fi-
nansowych oraz otrzymanych od
gmin odpowiedzi na ankiety, w któ-
rych brano pod uwagę liczbę miejsc
w przedszkolach, budżet partycypa-
cyjny, średnią ilość uczniów w pod-
stawówkach i gimnazjach, średnia
długość życia, bezrobocie i liczbę lud-
ności przypadającą na jedną przy-
chodnię lekarską.

Najlepsze okazują się gminy poło-
żone wokół większych miast oraz ty-
powo turystyczne, stąd należy tłuma-
czyć tak dobre miejsca gminy Słupsk,
która jest typową gminą podmiejską
oraz gminy Ustka - turystycznej. To
właśnie w tych gminach oraz w gminie
Kobylnica i Ustce problem ze zmniej-
szającą się liczbą mieszkańców nie
występuje. Pozostałe gminy powiatu
słupskiego borykają się z dużymi pro-
blemami demograficznymi oraz ujem-
nym saldem migracji, co przekłada się
na stałe zmniejszanie liczby mieszkań-
ców. Co ciekawe, Słupsk stanowiący o
sile regionu, wyraźnie przegrywa ry-
walizację o mieszkańców z gminami
podmiejskimi - wiejską słupską i ko-
bylnicką. Jeszcze kilkanaście lat temu
tendencja była taka, że to mieszkańcy
terenów wiejskich masowo migrowa-
li do miast, gdzie szanse na znalezieni
pracy i mieszkania były większe.

Obecnie Słupsk tra-
ci mieszkańców, właśnie
kosztem terenów wie-
jskich. Jakość życia, hałas,
gęstość zaludnienia, brak
zieleni, miejsc wypoczyn-
ku, placów zabaw oraz wie-
le innych czynników kusi prze-
prowadzeniem się do Siemianic,
Kobylnicy czy Bolesławic. Prze-
ważnie przeprowadzają się osoby
w „sile wieku”, posiadające dzie-
ci, o stabilnej sytuacji zawodo-
wej, a tym samym z wyższymi
dochodami. Jakże rodzi to pozy-
tywne konsekwencje dla samo-
rządów przyjmujących
nowych mieszkańców?
Przede wszystkim przy-
bywa dochodów w bu-
dżecie rosną możliwości
rozwoju. Jakże niesie to
negatywne skutki dla Słup-
ska? Oprócz niższych wpły-
wów do budżetu, odpływ
młodych mieszkańców wpływa na
starzenie się społeczeństwa z wszyst-
kimi tego konsekwencjami.

W których gminach żyje się najlepiej?

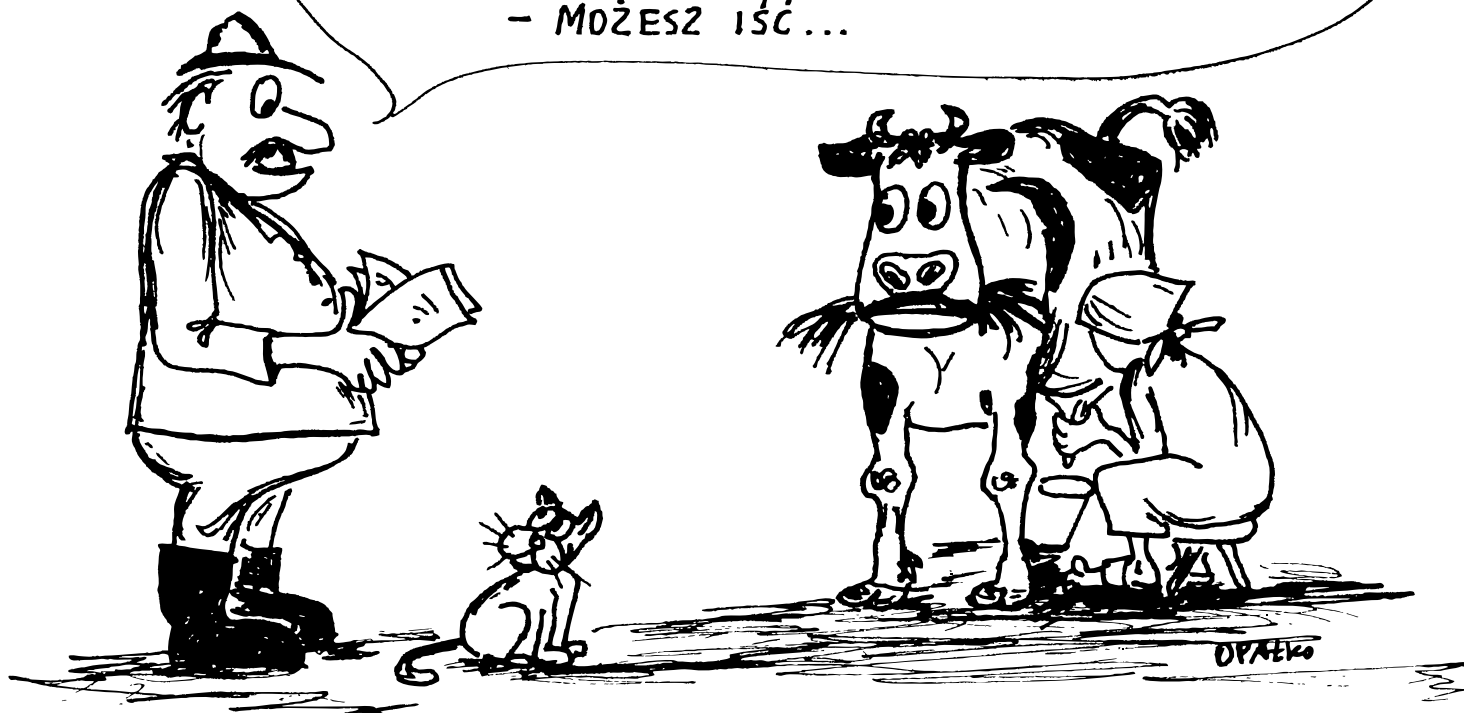
Na postawione w tytule pytanie
odpowiada ranking tygodnika
„Wprost”. Spośród gmin wiejskich
w pierwszej trzydziestce znajdują
się dwie z powiatu słupskiego.
Gmina Słupsk i gmina Ustka
zajmują odpowiednio 29 i 30 miejsce
w Polsce. Co ciekawe, w pierwszej
trzydziestce nie ma innych gmin
wiejskich z województwa
pomorskiego.



Zauważyć na-
leży, że przepro-
wadzanie się miesz-
kańców z miasta na tereny
podmiejskie nie jest tylko
problemem Słupska. Tenden-
cja ta jest widoczna w większości
dużych i średnich polskich miast.

**Paweł Lisowski
Członek Zarządu Powiatu
Słupskiego**

KAŚKA!.. DOSTAŁAŚ ZAPROSZENIE NA KONGRES
Kobiet... UPIERZESZ, UGOTUJESZ, POSPRZĄTASZ...
- MOŻESZ IŚĆ...



Uwalnianie energii

Kobieta – mężczyzna, kobiecość – męskość, niezależnie od interpretacji tych pojęć, to dwa bieguny rzeczywistości zwanej człowiekiem.

Ostatnio często przemieszczam się między Słupskiem i Czestochową. To miasta bliskie mi z różnych powodów. Z okien autobusu oglądam kadry przesuwanego się krajobrazu. Jest środek lata. Roślinność, cała przyroda próbuje wcisnąć się w każde wolne miejsca nie zajęte przez cywilizację. Trzeba przyznać, że pomagamy jej w tym z coraz większym zrozumieniem. Nie tylko dla własnej korzyści, ale także z szacunku dla niej samej. Ona potrafi istnieć bez nas, my bez niej, nie. Uświadamiamy to sobie coraz częściej. Przenika nas energia - siła przetrwania, zdolność do życia i wykonywania określonych działań. Tak ją rozumiem najogólniej. Chińczycy nazywają ją ciepło „chi”. Krąży w całym kosmosie i w nas. Rozprasza się i kumuluje w galaktykach i w mięśniach nóżki komara, w masie słońca i w ziarenku zboża. Nauczyliśmy się gromadzić i wykorzystywać energię, wzmacniać lub osłabiać jej siłę, przekazywać lub odbierać innym. Zamknięta w głowicach pocisków, zwojach sprę-

żyny, w uzdrawiających dłoniach, wypowiedzianych słowach, przeblyskująca w spojrzeniach. Zawsze gotowa do zmiany miejsca i stanu skupienia.

- Och! Najmocniej pana przepraszam - powiedziała nagle siedząca obok współpasażerka, gdy z trzymanej przez nią butelki wody mineralnej, wytrysnął pod ciśnieniem gazu spory strumień, oblewając nas niemal do stóp. - Pan jest cały mokry - zauważyła. - Ależ nic się nie stało - odpowiedziałem z uśmiechem.

W czasie podróży stajemy się mimo woli, słuchaczami rozmów między pasażerami. Od dłuższego czasu słyszę z miejsca, tuż za mną głos kobiety skierowany do kogoś obok, ale w tonacji świadczącej o nadziei na szersze grono. Z narastającym zdumieniem dowiaduję się, jaką to zgubną siłą są wiatraki elektrowni wiatrowych. Jak straszliwe szkody czynią w mózgach ludzi, którzy oczywiście nic o tym nie wiedzą, bo wszystko jest ukrywane. Guzy, nowotwory, zaniki pamięci, psychozy, nerwice, bezpłodność... Chorują rośliny i

zwierzęta, wyjaławiana jest gleba. Wzrasta szkodliwe promieniowanie. A stawia się ich, niestety, coraz więcej. Niszczy się ludzi i przyrodę. Korzyści z energii wiatrowej to bzdury. W dodatku cały wytworzony prąd płynie do Niemiec... Młodzi wyjeżdżają za granicę i nie chcą wracać, bo do czego? Tam zakładają rodziny, rodzą dzieci, tam im lepiej. Do tego doprowadziły oszukańcze, zdradzieckie układy, politycy z piekła rodem.

Zaoszczędzę czytelnikom dalszych szczegółów. Powiem tylko, że tyle bzdur, nonsensów wypowiedzianych w krótkim czasie, nie słyszałem już od dawna. Momentami odnosiłem wrażenie, że nie jadę nowoczesnym autokarem w cywilizowanym towarzystwie, gdzieś w Europie, lecz mentalnie średniowiecznym wozem zaprzęgniętym w woły, wyposażonym w podręczny zestaw do tortur. Gdy odwróciłem głowę, okazało się, że autorem tych rewelacyjnych wynurzeń jest dobrotliwie wyglądająca kobieta w średnim wieku.

Kobieta i kontekst

Lato zwiększa szansę dostrzeżenia uroku kobiet. Lekko i gustownie przyodzianie przyciągają wzrok jak kwiaty w zadbanym ogrodzie. George Sand, Greta Garbo, pani Walewska i pani Kowalska spod siódmki. Joanna d'Arc, Lady Gaga, księżna Monaco i Józka od Zawadów, Horpyna z czarciego jaru, Nefrete-

te, matka Teresa i caryca Katarzyna... Są wokół nas. Nie ma uniwersalnych sposobów na bycie człowiekiem - kobietą i na opis tego faktu. Tak jak wątpliwe są diagnozy zbiorowych zachowań jednostek w określonych sytuacjach. Są tylko przypuszczenia. Wszystko jest realne i śnione zarazem: przyjaźń, miłość, koleżeństwo, kontakty zawodowe, kłamstwo, zbrodnia, obojętność, samotność.

Przenika nas energia. Ta uwalniająca przez kobietę szczególnie bliską jest bezcenna. Nie uciekajmy więc w uogólnienia, nie podpierajmy danymi z medialnych objawień. Kobiety, mężczyźni, rośliny, zwierzęta, planety - lubimy posługiwać się liczbą mnogą. To jeden ze sposobów ukrywania istoty sprawy i niekompetencji, unikania odpowiedzi i odpowiedzialności. Liczba mnoga przydatna dla „wzmocnienia” czyjegoś poglądu, statystycznego ujęcia, w polityce nadużywana - nie wyjaśnia wiele. Zbliżenie możliwe jest tylko w konkretnym przypadku, w kontekście okoliczności. Mężczyzna był, jest i pozostanie ważnym, jeśli nie kluczowym elementem tego kontekstu. Kluczowym dla kobiety kobiecości, lecz nie jedynym. Pozostając w relacji, nawet bardzo odległej, kobieta i mężczyzna pozostają obliczem i siłą człowieczeństwa.

- Wszyscy pochodzimy z energii - mówi pani profesor Cherkaoui El Moursli, wykładowca fizyki cząstek elementarnych na uniwersytecie w Maroku. Bez względu na teorię o pochodzeniu zjawiamy się: Kasia, Agnieszka, Teresa, Ewa, Marek, Zbyszek, Jerzy... Każdy inny, niepowtarzalne zaistnienie, chwila życia przynależna tylko jemu, choć w relacji do innych. Tym pojawieniem się tworzymy okazję, wywołujemy reakcję. Można nas przyjąć lub odrzucić, przytulić lub odwrócić się z obojętnością. Odnotować w dokumentach, zarejestrować w urzędach, na listach, w kolejkach. Są wykazy upoważnionych do wstępu, przejazdu, uczestników zebrań, narad, zabaw, wycieczek. Są też listy wykluczonych, niedopuszczonych, straceńców, uwięzionych. Są scenariusze zachowań, programy występów, harmonogram przesłuchań, listy obecnych lub nie.

Jest Beata, Anna, Krystyna, Izabela, Krzysztof, Stanisław, Maciej... Nie są tylko jednostką w statystyce, obiektem sondażu, głosem do urny. Uczestnikiem kompanii, stowarzyszenia etnicznej enklawy, społeczności, narodu, państwa. Reprezentantami płci ocenionej i klasyfikowanej na pierwszy rzut oka. Są

czymś więcej. Niezgoda ma pewne formy rzeczywistości społecznej, na presję niszczącą indywidualność w imię obowiązujących w danym środowisku, swoście rozumianych wartości, może być początkiem odnajdowania własnej tożsamości, umacniania fundamentu rozwoju, szansą na lepiej zorganizowaną i szanującą się społeczność.

Kongres

Czy ktoś pamięta, że 22 marca br. w Słupsku odbył się pierwszy w tym regionie Kongres Kobiet? Obradował pod hasłem: „Uwalniamy energię”. Przyjechały m.in. Dorota Warakomska, Kazimiera Szczuka, Barbara Nowacka. Było wiele wspaniałych pań znanych nie tylko z lokalnych inicjatyw w różnych dziedzinach kultury, polityki samorządowej, życia organizacji społecznych. Danuta Wawrowska, współorganizatorka kongresu, miała powody do zadowolenia. Sala teatru Rondo, gdzie odbyła się dyskusja panelowa z udziałem władz miasta, pękała w szwach. W ważnej rozmowie o ważnych sprawach przewijała się troska o wzajemne zrozumienie, równość szans rozwojowych, miejsce kobiet w życiu społecznym. Mówiono o szkodliwości mitów i stereotypów dotyczących roli kobiet. Byłem jednym z facetów (określenie często używane w tym gronie), którzy przysłuchiwali się dyskusji. Tylko bardzo niewielu bagatelizowało to wydarzenie wzruszając ramionami: ot, baby przyjechały, pogadają sobie i rozjadą się i dalej będzie po staremu. Przynajmniej w niektórych sprawach. Na pewno nie w nadwiślańskiej polityce, bo tutaj awansować może każdy, byle tylko chciał. Na szczęście w bardziej merytorycznych stanowiskach i funkcjach, płęć nie jest już wystarczającym argumentem na tak lub nie, liczą się kwalifikacje, umiejętności. Wiele kobiet zajmuje dziś kluczowe miejsce w różnych dziedzinach gospodarki, kultury, finansów publicznych. Miasto Słupsk i powiat słupski mogą być tego przykładem. Dyrektorami, naczelnikami wydziałów itp., na przykład w centralnej bibliotece miasta, w muzeum, w wielu szkołach, placówkach oświatowych, w zarządach miast - są kobiety. W gminach powiatu słupskiego połowa wójtów to kobiety, a w gminie Kępice jest więcej sołtysek niż sołtysów. Pani Magdalena Gryko - burmistrz Kępic ma jednak swoje zdanie: „Co tam feminizm, gdy ludzie nie mają co do garnka włożyć”.

Jednak jest o co walczyć, zważywszy na różnice w pojmowaniu i traktowaniu kobiety i jej miejsca w społeczeństwie. Nawet w tak elementarnych sprawach jak godność człowieka, równość praw obywatelskich nie ma w Rzeczypospolitej konsensusu. Przykładem może być kompromitująca poziomem dyskusja w parlamencie nad ustawą o przeciwdziałaniu przemocy i stosowaniu metody in vitro. Dyskusja za sprawą mediów toczy się dalej i żenujące w tej kwestii wypowiedzi tzw. autorytetów potwierdzają tylko smutny fakt, że wiara i rozum mają ze sobą mało wspólnego. Fakty obnażają skalę problemu. Rocznie cztery miliony kobiet podlega w Polsce różnym formom przemocy, sto pięćdziesiąt ginie. Tylko 20 proc. aktów przemocy znajduje odzwierciedlenie w sądzie, z których 80 proc. kończy się wyrokami w zawieszeniu. Jakież tajemnicze przyzwolenie na przemoc, zanik empatii z jej ofiarą, idzie w parze z ignorancją wiedzy na temat płci i płciowości. Pani dr Maria Pawłowska specjalizująca się w tematyce gender, zwróciła uwagę na fakt, że to nie hormony i chromosomy decydują o tym jakimi jesteśmy ludźmi, tylko nasze wychowanie. Mężczyźni tak samo nadają się do wychowywania dzieci jak kobiety. Nie trzeba mieć jajników, aby odebrać dziecko z przedszkola - stwierdziła przy aplauzie sali pani doktor.

Kobieta - mężczyzna, kobiecość - męskość, niezależnie od interpretacji tych pojęć, to dwa bieguny rzeczywistości zwanej człowiekiem. Między nimi rozciąga się ogromny obszar zjawisk psychofizycznych, biologicznych i społecznie uwarunkowanych postaw, typów osobowościowych, charakterów, których wygląd, zachowanie, potrzeby, prawo do życia i miejsca w społeczeństwie nie powinny być przedmiotem wykluczających konstatacji. Różnimy się, to jest fakt, który należy przyjąć z miłością, świadczący nie o defektach, lecz o bogactwie naszego gatunku. Powoli, bardzo powoli, ale jednak mijają czasy w których wyklucza się, izoluje, potępia i wyśmiewa inność. Robi się to tylko dlatego, że nie pasuje ona do czyjegoś wyobrażenia, układów obyczajowych, doktryn, dogmatów. - Jesteśmy podobni, aby się zrozumieć i różni, aby się pokochać - powiedziała Eliza Orzeszkowa ponad 120 lat temu! My wciąż się poznajemy. My - mężczyźni i kobiety, my - ludzie. Mamy do tego prawo, to nasz obowiązek.

Zdzisław Opalko, Słupsk

Razem łatwiej, lepiej, taniej

Jakie korzyści mają turyści wypoczywający na wsi u gospodarzy, w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, korzystając z dobrego zdrowegojadła, nie trzeba nikogo przekonywać.

W krajach o długoletniej tradycji turystyki wiejskiej wiodącą rolę w rozwijaniu tej formy pełnią stowarzyszenia reprezentujące interesy prywatnych kwaterodawców. Głównymi celami działalności stowarzyszeń są: reprezentowanie członków, marketing, szkolenia, kategoryzacja i kontrola jakości.

Stowarzyszenia powinny współpracować z regionalnymi i krajowymi organizacjami i instytucjami turystycznymi, a ich członkowie powinni zasiadać w regionalnych i krajowych radach do spraw turystyki. Źródłami

atrakcyjną ofertę. Takie informacje zdobywa się na szkoleniach, wyjazdach studyjnych, a także za pośrednictwem wydawnictw przygotowywanych przez stowarzyszenia.

Wprowadzenie ujednoliconych kryteriów oceny jakościowej obiektów i usług noclegowych oraz żywieniowych, przyczynia się do wzrostu efektów ekonomicznych. Wymierną korzyścią przynależności do stowarzyszenia jest udział w systemie promocji i dystrybucji turystycznego produktu, a wspólna promocja jest tańsza. Przystępując jednak do stowarzyszenia trzeba sobie odpowiedzieć

Po 1989 roku było województwo śląskie znalazło się w sytuacji, w której bezrobocie na obszarach wiejskich określano „strukturalnym”. Właśnie w rozwoju agroturystyki upatrywano wsparcia dla miejscowej ludności. Pomoc gospodarzom w przygotowaniu gospodarstw wiejskich do przyjęcia turystów powierzono ośrodkom doradztwa rolniczego.

Powstałe w 1995 roku Śląskie Stowarzyszenie Agroturystyczne lokalowo i merytorycznie wsparł Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Strzelinie, początkowo pod kierownictwem Edmunda Ścibisza, a potem przez



finansowania działalności stowarzyszeń są składki członkowskie, wpłaty członków wspierających, fundusze pozyskiwane z samorządów lokalnych, budżetu państwa oraz z Unii Europejskiej.

Wiele osób zastanawiało się, czy warto było i jest wstąpić do lokalnego stowarzyszenia agroturystycznego, co da, ile trzeba płacić, jakie będą z tego korzyści? Można stwierdzić, że poprzez taką przynależność uzyskuje się możliwość udziału w opiniowaniu istniejących i tworzonej nowych regulacji prawnych. Stowarzyszeniu łatwiej pozyskiwać środki finansowe na działalność. Ważnym zagadnieniem, umożliwiającym osiągnięcie sukcesu, jest znajomość potrzeb i oczekiwań poszczególnych segmentów rynku turystycznego. Właśnie w oparciu o pozyskaną wiedzę można przygotować

na pytanie, czy chce się aktywnie uczestniczyć we wszystkich działaniach, które dotyczą rozwoju oferty turystycznej, a tym samym dotyczą możliwości rozwoju własnego środowiska, miejscowości, regionu?

Reformy gospodarcze zapoczątkowane w 1989 roku przyniosły obok korzyści wiele niepożądanych zjawisk, zwłaszcza na wsiach. Kryzys ekonomiczny w rolnictwie spowodował zmniejszanie dochodów rolników. Rodzinom wiejskim coraz trudniej było utrzymać się tylko z gospodarstwa. Receptą na złagodzenie tych problemów stała się agroturystyka, którą bardziej swojsko nazywa się turystyką wiejską. Jakiekorzyści mają turyści wypoczywający na wsi u gospodarzy, w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, korzystając z dobrego zdrowegojadła, nie trzeba nikogo przekonywać.



wiele lat kierowany przez Zdzisława Kołodziejskiego. Danuta Janulewicz i Stanisław Pokusa byli pierwszymi doradcami merytorycznymi dla kwaterodawców. Elżbieta Czajkowska ze Słupskiej Izby Rolniczej przez kilka kadencji pełniła funkcję zastępcy prezesa stowarzyszenia, którym przez dwie kadencje był Zbigniew Przybylski, a kolejnym - Jan Kuźel z Łeby,

W okresie przedakcesji Polski do Unii Europejskiej członkowie unijni byli ciekawi zmian, jakie zachodziły w Polsce. Oferowano szkolenia łącznie z możliwością pozyskiwania środków unijnych. Wyjazdy na szkolenia, a także na targi turystyczne, przygotowywanie wydawnictw reklamowych wspierał wówczas Wydział Turystyki ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego w Słupsku. Pewne kwoty pozyskiwano też z programów pomocowych PHARE, m.in. z Programu Tourin II. Nawiązano współpracę z agroturystami z Bornholmu i Irlandii. Niemal na całym obszarze województwa słup-

skiego powstały gospodarstwa agroturystyczne. Liczba członków stowarzyszenia urosła do ponad 140! W 2001 roku wstąpiono do Polskiej Federacji Turystyki Wiejskiej „Gospodarstwa Gościnne”. W jego władzach znalazła się m.in. Elżbieta Czajkowska. Za pośrednictwem Federacji oferta Słupskiego Stowarzyszenia Agroturystycznego promowana była na wielu krajowych i zagranicznych targach turystycznych.

W 1999 roku wojewódzko słupskie przestało jednak istnieć, a powstały powiaty. Słupskie Stowarzyszenie Agroturystyczne podzieliło się, 18 lutego 2003 roku w KRS-ie dokonano zmiany nazwy na Stowarzyszenie Agroturystyczne „Pomorzanie i Kaszubi”. Stowarzyszenie otrzymało nowe logo, które wymyśliła Krystyna Czucha - znana malarka z Machowina. Nawiązano m.in. współpracę ze Starostwem Słupskim. Obejmowała ona organizację szkoleń, wydawnictw, konkursów, np. Zielone Lato,

Srebrny Niedźwiedź - Lider Słupskiej Gospodarki.

W latach 2003 - 2013 funkcję prezesa stowarzyszenia pełniła Danuta Ryba z Lubuczewa. Na obszarach wiejskich w tym czasie powstawało coraz więcej organizacji pozarządowych, które zaczęły pozyskiwać środki unijne z różnych programów i w ramach konkursów organizowanych przez samorządy. To m.in. spowodowało, że część gospodarstw odeszła od stowarzyszenia, znajdując inne możliwości promocji i dofinansowania działalności. Liczba członków stowarzyszenia spadła do 26! W tej trudnej sytuacji funkcję prezesa objęła Agnieszka Mróz.

Dziś po dwudziestu latach działalności „Pomorzan i Kaszubi” jego członkowie zadają sobie pytanie: co będzie dalej? Postawiono je też na spotkaniu jubileuszowym, które odbyło się 13 czerwca w nowej świetlicy w Lubuczewie.

Joanna Orłowska, Słupsk



Jak Przemek znalazł

Po czterech latach znajomości podjęli decyzję i w kościele parafialnym w Smołdzinie powiedzieli sobie w obecności Boga sakramentalne „tak”.

Małżeństwo na wsi to również dziś ważna sprawa. W dawnych czasach małżeństwa kojarzono przy pomocy swatów. Rodzice młodych mieli już upatrzone kandydatów na małżonków dla swoich dzieci. Najczęściej brano pod uwagę ilość mórg czy hektarów, które młoda wносиła w posagu do gospodarstwa swojego męża.

Posag panny młodej był bardzo ważny, nawet najuboższa panna miała za punkt honoru wnieść ze sobą co najmniej pierzynę usypaną ze świeżego pierza z gęsiich piór, spory zapas osobistej garderoby i niezbędne sprzęty gospodarskie. Kiedy rodzicom przyszłego pana młodego odpowiadał taki posag posyłano swatów do rodziców dziewczyny, aby omówić sprawę ewentualnego małżeństwa. Nie zawsze brano pod uwagę zdanie młodych, nie pytano czy się kochają, czy się sobie podobają. Zakładano, że miłość i kochanie przyjdzie z czasem.

Kobieta, która nie wniosła mężowi w wianie hektarów czy choćby krowy nazywana była „dziadówką”. I chociaż była bardzo urodziwa i pracowita, rzadko kiedy miała poszanowanie w nowej rodzinie. Zdarzały się jednak wyjątki, kiedy młody małżonek nie przywiązywał uwagi do opinii innych, a widział w swojej kobiecie dobrego człowieka, wspierała matkę dla swoich dzieci, kochaną i pracowitą partnerkę. Takie małżeństwo miało szansę być szczęśliwym.

Brano również pod uwagę opinię na temat rodziny przyszłych młodych, czy ma poszanowanie u miejscowego księdza i wójta, czy na starość będzie można liczyć na podanie szklanki wody, czy, nie daj Boże, przyjdzie umrzeć z głodu pod przysłowiowym płotem.

Ale nade wszystko oczekiwano od małżeństwa potomstwa. Chodziło o to, by w przyszłości krwawica dziadków i ojców nie przeszła w obce ręce, by trud i pot przelany przez lata w gospodarstwie nie poszedł na marne. By zachowana została ciągłość w rodzie. Dzieci w gospodarstwie rolnym były tanią siłą roboczą. Wysługiwano się więc nimi w każdej nieomal pracy: pasły krowy, pomagały w pracach polowych, niańczyły młodsze rodzeństwo.

Z latami zwyczaje się zmieniły. Młodym nie potrzeba dzisiaj pomocy swatów, aby wybrać sobie współmałżonka. Posag też nie gra roli. Jest nim dzisiaj wykształcenie, chęć do pracy. Nade wszystko liczy się miłość między młodymi. Rodzice też nie muszą już tak liczyć na pomoc swoich dzieci. Starość na ogół zapewnia przyznana im emerytura. Jedyne co jeszcze pozostało, to potrzeba utrzymania gospodarstwa rolnego. Bo także dzisiaj gospodarstwo to ziemia, to pieniądze na życie.

A jak było z ożenkiem naszego znajomego Przemka Olszewskiego, którego poznaliśmy w 2011 roku? („Powiat Słupski” nr 5-6.) Kiedy byliśmy u niego wtedy, Przemek akurat przejął gospodarstwo rolne po swoim stryju Henryku. Nie było ukierunkowane. Musiał wiele zmienić. Choć był pełen zapału, nie wiedział czy podola wyzwaniom, czy nie przyjdzie zwątpienie i czy będzie mógł liczyć na pomoc państwa, które zawsze coś obiecuje młodym rolnikom, ale potem stawia warunki.

Wybrał trudny kierunek - hodowlę bydła mlecznego. Nie mógł liczyć na codzienną pomoc ze strony rodziny. Stryj Henryk wkrótce zmarł, drugi stryjek - Jan był po amputacji nogi. Rodzice, chociaż całym sercem wspierali syna, pracowali zawodowo i niewiele mogli mu zaoferować. Został sam. I nagle pojawiła się w jego życiu ta, która pokochała go całym sercem. Nie straszna była jej ciężka praca. Zнали się od dawna, mieszkali

lażł żonę

w tej samej miejscowości, chodzili do tej samej szkoły. Jak się okazało, swoją ukochaną miał blisko, na wyciągnięcie ręki.

Po niedługim czasie zrozumie-
li, że są... dwiema połówkami jabłka.
Nie zdecydowali się szybko na mał-
żeństwo. Dali sobie na to trochę cza-
su. Chcieli się sprawdzić w chwilach
lepszych i trudniejszych. Po czterech
latach znajomości podjęli jednak de-
cyzję i w kościele parafialnym w Smoł-
dzinie powiedzieli sobie w obecności
Boga sakramentalne „tak”.

Natalia, bo tak ma na imię żona
Przemka, jest młodą, śliczną kobietą.
Jak bardzo jest uczuciowa przekona-
ła wszystkich już podczas ślubu, kiedy
łzy i wzruszenie odebrały jej na chwi-
lę mowę.

Piękny był ich najważniejszy
dzień w życiu. Pomimo nie najlep-

szej prognozy pogody, straszącej
deszczem i gradem, w dniu ich ślubu
świeciło piękne słońce. Uroczystość
weselna była bardzo udana. Zespół
muzyczny przygrywał do zabawy całą
noc i następny dzień na poprawinach.
Nie brakowało akcentów. Kawalkadę
samochodów z gośćmi zatrzymywały
tradycyjne weselne bramy, utworzo-
ne z ciągników i maszyn rolniczych.
Przemkowi, niezwykle lubianemu są-
siadowi, wszyscy mieszkańcy Człuch
i Smołdzina życzyli szczęścia na no-
wej drodze życia.

Wspaniałe jadlo podlewane było
tradycyjnym bimbierkiem. O wesel-
ny stół zadbali ojcowie młodych. Mi-
mo wspaniałej zabawy, wielokrotnie
widziałam jak młody gospodarz dys-
kretnie kontaktował się z odpowied-
nimi osobami, żeby mieć wiedzę, co
dzieje się w gospodarstwie. Bo przy-
jęcie odbywało się z dala od domu, w
słupskiej restauracji.

Po weselu młodzi musieli ostro
zabrać się za pracę. Natalia jeszcze w
misternie ułożonej fryzurze, szybko

zamieniła piękną sukienkę na ubranie
robocze i kalosze. Tak samo Przemek
musiał powiesić garnitur w szafie. Za-
miast w podróż poślubną wyjechał w
pole siał zboże, bo był to czas wiosen-
nych prac. Podróż poślubna ma być w
stosowniejszej porze!

Przemek ma już nowe plany, zwią-
zane z gospodarstwem. Chce moder-
nizować oborę, zainstalować najno-
wocześniejszą dojkarkę, usprawnić
obsługę zwierząt. Koniecznie musi
dokupić też więcej ziemi i powiększyć
jeszcze stado krów. Natalia wspiera go
w tych planach. Ale podkreśla, że naj-
ważniejsze, żeby nie brakło nigdy cie-
pła rodzinnego i miłości.

Ja myślę, że im się uda. Przemek
powiedział mi w żartach, że kiedydo-
żyje siedemdziesiątki, to będzie miał
sto krów i będzie sobie przy nich cho-
dził z laseczką. Doświadczenie będzie
wtedy miał duże!

Póki co, młodzi mają swoje ma-
rzenia. I ciężko pracują.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Czy Bałtykowi grozi katastrofa?



Dno Bałtyku jest tykającą bombą. Na ten temat rozmawiam z Januszem Dąbrowskim – pasjonatem historii Pomorza.

- Czy Bałtykowi grozi zagłada ekologiczna?

- Przyszłość naszego morza jest niepewna, na jego dnie znajduje się 250 tysięcy ton amunicji, w tym około 65 tys. ton zawiera trujące substancje. Są one groźne nie tylko dla wszystkich istot żyjących, ale również dla całego środowiska naturalnego.

- Kto wrzucił broń i beczki z niebezpiecznymi substancjami do

Bałtyku i dlaczego nazywa się je tykającą bombą ekologiczną?

- Broń oraz trujące środki chemiczne topili w Bałtyku Niemcy, Rosjanie i Brytyjczycy. Większość z nich wrzucano do wody w latach 1945 - 1947. Były to pozostałości po działaniach II wojny światowej. Broń chemiczna zatopiona w metalowych beczkach i kontenerach zawiera różnorodnie szkodliwe substancje, między innymi parzące - iperyt i luizyt, duszące - fosgen, paralityczno-drgawkowe - sarin, v-gazy, tabun, soman, ogólnotrujące - arsenowodór, chłorocyjan, cyjanowodór oraz drażniące

- ternity, lakrymatory. Gdy przedostaną się do wody, spowodują katastrofę ekologiczną oraz śmierć wielu osób, zwierząt i roślin.

- Gdzie znajdują się największe skupiska zatopionej broni oraz tych wszystkich niebezpiecznych substancji chemicznych?

- Najwięcej broni i substancji chemicznych zatopiono na Głębi Bornholmskiej, na wschód od Bornholmu, w południowo-zachodniej części Głębi Gotlandzkiej oraz w rejonie Małego Beltu. Naukowcy Polskiej Akademii Nauk oraz Akademii Marynarki Wojennej sprawdzili około 200 pojemników znajdujących się na Głębi Gdańskiej. Nie znam wyników ich badań, ale wiem, że mniejsze skupiska zatopionej broni znajdują się też na polskich wodach Bałtyku - na wysokości Kołobrzegu, Dziwnowa, Darłowa i Helu.

- Czy państwa nadbałtyckie podjęły jakieś działania, mające na celu ochronę Bałtyku przed katastrofą ekologiczną?

- Polska, Szwecja, Finlandia, Niemcy oraz Łotwa uczestniczą w projekcie „CHEMSEA”, który jest finansowany przez Unię Europejską. W jego ramach lokalizują zatopioną w Bałtyku broń chemiczną, jednak naukowcy nie są pewni, jakie stanowi ona rzeczywiste zagrożenie oraz nie wiedzą, co z nią zrobić. Uważam, że wspólne działania krajów nadbałtyckich, wspierane przez Unię Europejską, mogłyby uchronić nas od katastrofy ekologicznej. Należy realizować propozycje przewodniczącego Międzynarodowego Dialogu ds. Zatopionej Broni - Terranca Longa, który zaproponował przetransportowanie niebezpiecznych substancji na ląd, gdzie zostałyby one zniszczone w specjalnych komorach niszczących chemikalia. Również pozytywnie oceniam propozycję włączenia wojsk NATO do akcji oczyszczania dna Bałtyku z zatopionej broni. Zdaję sobie sprawę, że wszelkie podjęte w tej kwestii działania pochłoną ogromne fundusze, ale uważam, że należy dążyć do ostatecznego rozwiązania problemu broni i trujących substancji chemicznych, spoczywających na dnie Bałtyku. Usuwanie skutków katastrofy ekologicznej może okazać się dłuższe i kosztowniejsze, a nawet nieodwracalne.

Rozmawiał:

Jakub Dąbrowski, Słupsk



Morze to jeden ze skarbów

Pewnego dnia zacząłem zastanawiać się, czy może się zdarzyć tak, że kiedyś w naszym Bałtyku zabraknie ryb? Czy na pewno wystarczająco troszczymy się o naszą przyrodę? Rozmawiam o tym z pionierem wędkowania z plaży, Jerzym Pletty z Kołobrzegu.

- Skąd biorą się świeże ryby w nadmorskich miejscowościach?

- Bałtyk jest małym morzem, ale żyje w nim wiele gatunków ryb. Nowoczesne kutry rybackie potrafią złowić ogromne ich ilości. Jest to zasługa nowoczesnego sprzętu elektronicznego, który potrafi zlokalizować ławice. Dlatego też możemy kupować świeże ryby prosto z kutra. Ale prawda jest taka, że gdyby wszyscy łowili bez ograniczeń, to Morze Bałtyckie stałoby się akwenem bez żadnego życia. Dlatego właśnie, by zmniejszyć połowy ryb, stosuje się limity oraz zwiększa rozmiar oczek w sieciach rybackich, aby łowić tylko duże okazy. Ale - jak się okazuje - to jeszcze i tak za mało.

- Co więc należy robić, by nie zabrakło nam ryb, zwłaszcza łososi?

- Łosoś to szlachetna ryba. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu było jej bardzo dużo, ale rabunkowa gospodarka rybacka doprowadziła prawie do jego wyginięcia. Wszyscy łowili bez ograniczeń, małe i duże okazy. Łosoś był wylawiany również w okresie, kiedy miały tarło, więc było coraz mniej osobników zdolnych do rozmnażania. By zwiększyć populację tej ryby Polski Związek Wędkarski zaczął odławiać gotowe do tarła samice oraz samce i pobierać od nich ikry i mlecz do wylęgu. Powstały nowoczesne wylęgarnie i hodowle, a także program odnowy populacji łososia. Zaczęto zarybiać pomorskie rzeki.

- Dlaczego rzeki, a nie morze?

- Bo łosoś to ryba dwuśrodowiskowa. Na tarło wybiera się do rzek, które wpadają do morza. Co ciekawe, łososi zawsze wracają do tej samej rzeki, w której się urodziły. Mają taki naturalny GPS, który nieomylnie kieruje je do miejsca urodzenia. Wracają na krótko, składają ikry i mlecz, a

następnie kierują się w stronę morza. Niestety, w tej biologicznej odnowie gatunku, przeszkadzają kłusownicy. Ale na szczęście mamy Straż Rybacką, Policję i Straż Graniczną. Służby te pilnują, by w okresie ochronnym nikt nie łowił łososi.

- Które akweny Morza Bałtyckiego są najbogatsze w ryby?

- I tu zaskoczę, nie głębiny, nie odległe tonie, ale wody przybrzeżne, gdzie występują różne formy życia. To są miejsca najbogatsze w ryby. Cykl biologiczny jest taki, że duże ryby jedzą mniejsze, a duże zostają zjedzone przez jeszcze większe. Trzeba być sprytnym, aby w takich warunkach przetrwać. Dlatego powinniśmy dbać o to, aby nasze morze było zawsze czyste, a będzie w nim więcej ryb. Kiedyś na transparentach widniało hasło: „Morze żywi i bogaci”. Warto pamiętać, że morze to jeden z naszych najzdrowszych i największych skarbów.

**Rozmawiał:
Malkolm Plett
Kołobrzeg**

Turyści nas odwiedzają

Gmina Ustka słynie z czystego morza, pięknych plaż i zdrowego powietrza. O podejmowanych działaniach ekologicznych rozmawiam z panią wójt Anną Sobczuk-Jodłowską.



- Jak chronić najlepiej miejsca, które przyciągają turystów? Zaczniemy może od wód Bałtyku.

- Mamy w pasie nadmorskim kilka stref ochronnych - parki krajobrazowe na wschód i na zachód od Ustki, klify w Poddąbiu. Ustanowienie miejsc prawnie chronionych nakłada na gminę obowiązek zwracania szczególnej uwagi na ochronę środowiska, a to wiąże się z zakazem wydawania wszelkiego rodzaju zezwoleń na lokowanie w tych miejscach jakiegokolwiek przemysłu, który będzie zagrażał środowisku. Na plażach gmina organizuje stanowiska strzeżone, co oznacza, że zapewnia bezpieczeństwo plażowiczom, ale też regulowane są sprawy zbierania odpadów i śmieci po turystach. Między innymi bronujemy plaże. W okresie sezonu letniego opiekujemy się całą strefą przybrzeżną i utrzymujemy na niej porządek. Nad czystością wód czuwa Sanepid, który kilkakrotnie w ciągu roku, a w sezonie ze zdwojoną częstotliwością bada wody i informuje nas o wszelkich możliwych nieprawidłowościach.

- A co robi gmina, gdy sztormy zniszczą plaże i wydmy?

- Jeżeli zniszczone zostaną na przykład zejścia na plażę, wówczas je odbudowujemy. Dbamy o to, by były odpowiednio oświetlone, utwardzone i żeby nie stwarzały zagrożenia. Uszkodzone wydmy to już sprawa Urzędu Morskiego. Kiedy morze zabierze fragment lądu, na przykład w Rowach to wspólnie z Urzędem Morskim ubiegamy się o wsparcie finansowe, umożliwiające ochronę brzegu morskiego. Wynikiem takiej współpracy jest chociażby budowa raf w okolicach Ustki, Rowów i Łeby. Dodatkowo w Rowach udało się wynegocjować budowę wydłużonych główek portu, wykonanie mola, pogłębienie portu, co w konsekwencji może mieć znaczenie dla rozwoju tej miejscowości i okolic.

- Jakie gmina ma plany związane z ekologią morską?

- Zgłasza się do nas wielu przedsiębiorców zainteresowanych inwestowaniem w turystykę. Szczególnie atrakcyjny pod tym względem jest teren między Dębiną a Poddąbiem po byłej jednostce wojskowej. Ma tam powstać między innymi nowoczesny ośrodek z nowymi zejściami na plażę. Obecnie stan wód Bałtyku, nabrzeży, plaż jest dobry. Jeżeli możemy mówić dziś o jakichś zagrożeniach, to stanowią je pozostałości po II wojnie światowej, które po latach leżenia w wodzie mogą się ujawnić i być groźne dla środowiska.

Ostatnio wydaliśmy zezwolenie na pociągnięcie światłowodu przez cały nasz teren, dzięki temu na wybrzeżu pojawią się urządzenia, które będą monitorować trasy handlowe, trasy przepływów wszystkich obiektów pływających. Oznacza to, że jeżeli jakiś tankowiec, płynący z niebezpiecznym ładunkiem, zmieni swoją trasę, zostanie z powrotem naprowadzony na właściwy kurs. Zmniejszy się niebezpieczeństwo zderzenia się dwóch jednostek płynących z przeciwnych kierunków i katastrofy ekologicznej, do jakiej mogłoby dojść w takiej sytuacji.

- Denerwuje mnie to, że ciągle jeszcze widzę śmieci na plaży, które gmina musi sprzątać. Czy nie ma na turystów skutecznej rady?

- Dopóki nie zmieni się kultura korzystających z plaż turystów, i to nie tylko polskich, ale również zagranicznych, to nie jesteśmy w stanie, poza doraźnymi akcjami, wyeliminować tego problemu. Staramy się gruntownie sprzątać to co zostaje po turystach. Ale zaraz zdarza się, że jakaś grupa turystów wjedzie na plażę i pozostawi na niej cały kontener pustych butelek. Trzeba dzieci już w przedszkolach uczyć segregowania śmieci i prawidłowego zachowania się w miejscach publicznych. Wiem, że przedszkola już to robią, zatem może z biegiem lat będzie pod tym względem lepiej i plaże będą czyste.

- Czy jest jeszcze jakiś inny problem ekologiczny występujący na polskim Wybrzeżu?

- Problemów jest dużo i nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jakie się jeszcze pojawią. Dla mnie największym niebezpieczeństwem są pozostałości po II wojnie światowej, które mogą - jak się coś złego stanie - całkowicie wyłączyć Bałtyk z funkcjonowania turystycznego. Dużym problemem jest też to, że nasze morze jest zimne, nie ma w nim ciekawych żyjątek, nie mamy ustabilizowanego klimatu i musimy podejmować różne działania, żeby wydłużyć sezon turystyczny. A trzeba pamiętać, że nasza gmina i gminy okoliczne tak naprawdę żyją z sezonu, bo wielkiego przemysłu poza przetwórstwem ryb u nas nie ma i nie będzie. Jak wcześniej zaznaczyłam - cała wschodnia strona gminy chroniona jest od przemysłu. Mam informację, że w okolicach Objazdy znajdują się złoża torfu o bardzo dobrych parametrach, dlatego w najbliższym czasie prawdopodobnie dla Rowów i ich okolic będziemy starali się uzyskać status uzdrowiska i zmierzać tam w kierunku całorocznej działalności turystycznej i uzdrowiskowej. Mam nadzieję, że przedsiębiorcy poprą mnie w tym zamierzeniu. Każde działanie ekologiczne przekłada się na lepszy byt naszych mieszkańców. Jeśli będziemy dbali o środowisko i nie dopuścimy do jego degradacji, tak długo turyści będą nas odwiedzać i cieszyć się z pobytu w naszej gminie. A nasi mieszkańcy będą mieli pracę.

Rozmawiała:

Anna Salwowska, Objazda



Z miłości do... życia

Aleksander Lickiewicz nie boi się wielkich fal, uwielbia odkrywać nowe lądy. Swoją przygodę z żeglarstwem zaczął niedawno.

Wspomina rejs do Lubeki: - Właściwie, odkąd pamiętam, historie dalekich wypraw i odkrywców geograficznych, przygody sławnych piratów oraz opowieści o majestatycznych żaglowcach rozpałały moją wyobraźnię. Żeglarstwo jest spełnieniem moich dziecięcych marzeń, jest sposobem, aby chociaż w pewien sposób poznać i dotknąć tego, co od zawsze mnie fascynowało. Poza tym żaglowiec jest jak organizm, który funkcjonuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, żyje swoim rytmem - stale coś się dzieje: raz marzniesz na wachcie, innym razem przygotowujesz posiłki w kambuzie, w wolnej chwili grasz z resztą załogi w karty, gdzie indziej słuchasz, jak ktoś opowiada ciekawą historię. Tak więc cały czas masz kontakt z ludźmi i to jest doskonały sposób, by się poznać. Często w czasie rejsów załoga tak zżywa się ze sobą, że zawiązują się trwałe przyjaźnie - i właśnie to moim zdaniem jest najpiękniejsze w żeglowaniu. Mogę jeszcze dodać, że nigdzie nie widziałem takich pięknych wschodów i zachodów słońca, jak na morzu.

- Czy dla Ciebie pływanie jest sportem ekstremalnym?

- Owszem, morze potrafi być niebezpieczne i mimo tego, że w niektó-

rych sytuacjach poziom adrenaliny może podskoczyć, nie traktuję żeglarstwa jako sportu ekstremalnego. Jest to dla mnie raczej zajęcie rekreacyjne, pozwalające mi odetchnąć od codziennego zabiegania.

Swoją przygodę z żeglarstwem zacząłem dosyć niedawno, jako osiemnastolatek, ale szczerze mówiąc żałuję, że nie wcześniej. Śmiało mogę powiedzieć, że był to uśmiech losu, który okazał się strzałem w dziesiątkę. Pewnego dnia zobaczyłem na drzwiach biblioteki szkolnej ogłoszenie o konkursie. Nagrodą była możliwość wypłynięcia żaglowcem STS General Zaruski w rejs do Lubeki i reprezentowanie Gdańska na Dniach Hanzy. Wtedy pomyślałem, że to jest to! Muszę się tam dostać! Jak się potem okazało, moje starania zostały docenione - w końcu trafiłem na żaglowiec z prawdziwego zdarzenia i mogłem powiedzieć: Witaj przygodo!

- Czy podczas któregoś z twoich rejsów zdarzyła się sytuacja wyjątkowo trudna?

- Nigdy nie było takiej sytuacji, z którą nie mogliśmy sobie dać rady. Pamiętam, że pod koniec jednego rejsu zabrakło chleba... To upiekliśmy coś, co przypominało słoną drożdżówkę. Co prawda majstersztyk kulinarny to nie był, ale nadawała się na śniadanie. W tym roku sezon był wyjątkowo „cichy” i ciężko było cokolwiek „wyciągnąć” z żagli. Podczas trudniejszych warunków, należy zawsze zachować zdrowy rozsądek, mieć oczy dookoła

głowy i po prostu myśleć. Na morzu jedni radzą sobie lepiej, drudzy gorzej... Ja, całe szczęście, należę do tych pierwszych. Gdy wiedzieliśmy, że będzie bujać, zawczasu przygotowaliśmy sobie „standardowe wyposażenie” w postaci wiaderka i plastikowych woreczków. A jak ktoś nie dawał rady, to wisiał jak śledź pod relingiem.

- Podobno kobieta na pokładzie przynosi pecha?

- To przesąd. Jakoś nigdy nie zauważyłem objawów pecha, którego rzekomo przynosiłaby kobieta na pokładzie. Damska część załogi lepiej znosi chorobę morską, w kambuzie sprawniej wszystko działa pod kobiecym okiem. I kto narobiłby tyle zdjęć, jak nie dziewczyny?

- Co trzeba zawsze zabrać ze sobą na jacht?

- Niezawodny jest sztormiak, trzeba mieć dobry szczyryk. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które mogą okazać się przydatne podczas rejsu. Nie wspomnę już o kompasie i mapie. Najważniejsze jest mieć zgraną ekipę i można płynąć nawet na koniec świata.

- Czy jako ludzie morza posługujecie się swoim odmiennym językiem, macie specjalne powitania?

- Pierwsze o czym pomyślałem, to znane chyba każdemu „Ahoj!” używane jako przywitanie albo pozdrowienie, aczkolwiek ja tego zwrotu używam tylko na pocztówkach. Jak już wcześniej wspomniałem, dosyć humorystycznie podchodzimy do części załogi, która nie do końca daje sobie radę z chorobą morską. Nazywamy ją „śledziami”. Jak bezpiecznie dopłyniemy do portu, to knajpę, w której spotkamy się, by opowiedzieć „morskie historie”, nazywamy tawerną. Myślę, że do slangu należy również cała nomenklatura, dotycząca budowy żaglowca - każda lina, żagiel, część statku ma swoją nazwę.

Odkąd zasmakowałem morza, nie przestaje mnie ono fascynować, dlatego nadal będę żeglował. Chciałbym poszerzać swoje horyzonty i rozwijać swoje umiejętności, by korzystać z żeglarstwa w pełni. Każdemu, kto lubi przygody, kto nie boi się wyzwania i przeciwności losu, polecam żeglarstwo. Polecam je również tym, którzy potrzebują odnaleźć chwilę spokoju w zaganianym dzisiejszym świecie, oraz którzy potrzebują przestrzeni.

Rozmawiała:
Aleksandra Żelska, Słupsk

Kartka z „Kroniki Objazdy”

Opowiedziana fotografią historia różni się od epickiej narracji. Potrafi zaczarować czas. W niej oba, czas narracji i czas rzeczywisty tworzą jedno. Nie ma czasu przeszłego, wszystko dzieje się teraz, choć owo teraz odległe jest o sześćdziesiąt sześć lat.



Fot. Archiwum Autora

*Członkowie zespołu artystycznego w Objęździe przygotowują wieniec na rejonowe dożynki, które mają się odbyć w Charnowie w dniu 14.12.1949r.
(Od lewej) - H. Kowalewska, H. Grabowska, Z. Zaczek, E. Kalista, St. Jasiński, Y. Kozub : St. Janus.*

Zapamiętana fotografią chwila już się nie zmieni. Przywoływana tylekroć wciąż opowiada tę samą historię. Wszystko jest prawdziwe, a rzeczywistość przywołana skrzy się detalami. Autor fotografii Roman Zub umieścił reporterskie zdjęcie w „Kronice Objazdy” i starannie opisał. Autora nie ma wśród nas. Odszedł na zawsze, podobnie jak większość bohaterów z jego fotografii. Ale na zdjęciu wciąż są, wciąż plotą dożynkowy wieniec.

Jedenastego września 1949 roku w Charnowie pod Ustką odbędą się rejonowe dożynki. Czas przygotować wieniec dożynkowy, to zajęcie dla zręcznych rąk kobiet. Jest ich sześć. Uśmiechnięte, zajęte pracą, pewnie rozmawiają o czymś zabawnym. A może wspominają wcześniejsze zdarzenia, w innym miejscu, bo każda z nich do Objazdy przyjechała z własną historią.

Halina Kowalewska z rodzicami Zofią i Władysławem oraz rodzeństwem znalazła w Objęździe dom na zawsze. Jeszcze niedawno mieszkali we wsi Byczki należącej do nowo utworzonej w 1936 roku parafii w Kopciówce w Dekanacie Grodzieńskim. Niestety, we wrześniu 1944 r. parafia Kopciówka znalazła się dziesięć kilometrów na wschód od nowej linii granicznej. Dlatego Kowalewscy opuścili Byczki i ruszyli w nieznaną.

Zatrzymali się w Objęździe. Halina, młoda, piękna, znalazła tu przyjaciół, niebawem męża i własny dom. Odeszła przedwcześnie, stanowczo za wcześnie.

Henryka, właściwie Maria Grabowska, opowiada swoją historię. W maju 1945 roku tyle samo było radości, co rozpacz. Cmentarz w Łomży zajęli młodzi ludzie, którzy zginęli w bratobójczych walkach, już po zakończeniu wojny. Nikt nie był pewny następnego dnia. Ci, którzy wracali z przymusowej wólczy przez Sybir do Kazachstanu, zastali ruiny swoich domów. Wracali osieroceni, ale szczęśliwi, że skończyła się gehenna wywózki. Będą pamiętać.

- Szesnastego sierpnia 1945 roku opuściliśmy dom w Podgórzu koło Łomży - opowiada Marysia. W grupie jedenastu rodzin ruszyliśmy na Ziemię Odzyskaną. Zatrzymaliśmy się w Słupsku. Kiedy wieczorem kilka dni później do punktu PUR w Słupsku konnym wozem przyjechał Feliks Kozub, sołtys wsi Wobezde, byliśmy spakowani i gotowi do drogi. Załadunku bagaży i podróży do wsi pilnował milicjant Śmietana. Zabrali mnie wozem, bo byłam w tej grupie jedyną, choć wyrośniętą dziewczyną. Miałam prawie dwanaście lat. Nim następnego dnia pieszo dotarli do wsi rodzice, zdążyłam zaprzyjaźnić się z żoną sołtysa, która spodziewała się dziecka,

obejść wieś i poznać jeszcze kilku nowych właścicieli gospodarstw.

Kilka lat wystarczyło, by Marysia Grabowska poczuła się w Objęździe jak w domu. Prawo młodości! Poczucie wspólnoty najszybciej rodzi się przez uczestnictwo w tradycji i kulturze. Nie myślała wtedy w ten sposób, była tam, gdzie coś się działo, gdzie byli rówieśnicy. Animatorem działań był Romcio, jak powszechnie nazywali Romana Zuba, który przyjechał z Krasnobrodu.

Każdy z nich był tu z innej części przedwojennej Polski. Teraz wspólnie plotą wieniec - cóż za metafora - wplatają weń swoje życie, historię i marzenia. Tu jest ich dom, innego już nie ma.

Elżbieta Kalistówna i Zosia Zaczekówna przyjechały do Objazdy dużą grupą, z rodzinami, Elżbieta ma za sobą przeżycia z 10 lutego 1940 roku. Obie pochodzą z Podgórza w Łomżyńskim, a w dalekiej Sołudze pozostali bliscy Elżbiety: dziadek, rodzeństwo. Po nich tylko pamięć. Życie trzeba zacząć od nowa. Młodzi, wrastają w nową społeczność, splatają dawne troski z radościami codziennego dnia.

Wśród młodych kobiet jest Stanisław Jasiński. Nie został w Objęździe, wyjechał, szukał miejsca dla siebie w Kanadzie. Po latach bliscy sprowadzili jego prochy do Polski.

Półokrąg zamykają Irena Kozub i Stanisława Janus, którą prawie wszyscy we wsi tytułowali przez lata ciocią. Nie będziemy dochodzić skomplikowanych losów, jest chyba wśród plotących dożynkowy wieniec najstarsza, rocznik 1912. Nie miała własnych dzieci, ale w domu zawsze byli siostrzeńcy, bratankowie, krewniacy. U cioci stołowali się nauczyciele, wszystkim była życzliwa i o wszystkich się troszczyła. Roman Zub, z którym dzieliła codzienne troski, zapisał w swoich notatkach pod datą 4 lipca '89 roku, gdy wypełnił się jej czas: „Z rana przyjechała Fredzia z mężem, później Danusia Świątczak ze Słupska i następnie z Komorowa S. Szyska, P. Młodawski, ze Starachowic J. Grobarz, W. Sorek, M. Kaczor i Kazik, z Zabrza Józek Marek, Tadek M. z Olą i Teresa M. oraz Heniek z Brygidą, Głowa J. z Gdyni i K. Rybak ze Sztumu, Teresa z Dorotą i Jacek, Zosia z Gienkiem, a poza tymi było wielu sąsiadów z Objazdy, z Ustki i ze Słupska Wojtek Maruszak z żoną, Waszkiewiczowie, Deskowice, Obstwo i wielu innych, również z Dębiny Dziubowie i inni, z Poddąbia H. Misztalowa, wielu z Rowów i z Machowinka. Był pełny kościół i bardzo dużo ludzi na cmentarzu.”

Ciocie, Stanisławę Janus żegnało latem 1989 roku. Od tamtego dnia 1949 roku, gdy na klepisku w stodole we wsi Objazda splotała kłosy w dożynkowy wieniec minęło czterdzieści lat. Metafora stała się rzeczywistością. Pospłatały się losy ludzi z różnych stron, poczuł się wspólnotą. Dożynki, wesela, pogrzeby, które opisywał w „Kronice Objazdy” Roman Zub potwierdzały wspólnotę tradycji, kultury, przekonań.

Minęły czasy, gdy zboże koszone kosą, za kosiarzem szła kobieta podbierająca pokos, często pomagając sobie sierpem. Powrócił skrzyżowany ze źdźbeł wiązała snopy, później ustawiano je w kopy, po dziesięć snopów. Po kilku dniach, gdy zboże przeschnęło, zwożono snopy do stodoły, gdzie czekały na młóckę. W Objeździe było kilka konnych żniwiarek. Maszynę ciągnęły konie powożone przez woźnicę. Obok na siodelku siedział ktoś, kto kładł pokosy pod noże i zsuwał, gdy nazbierała się garść odpowiednia na snopek. Później kobiety wiązały je i ustawiały w kopy. Minęły czasy sno-

powiązań konnych. Żniwa przestały być nawet tematem medialnym, traktuje się je jako zadanie produkcyjne, a dawne obrzędy i zwyczaje są li tylko ciekawostką etnograficzną. Wtedy jednak, jak było we zwyczaju we wszystkich regionach Polski, na dożynki do Charnowa przygotowały piękny wieniec, zdobiąc go własnymi marzeniami.

Dożynki i obrzędy z nimi związane znane były u Słowian i plemion bałtyckich od czasów najdawniejszych jako wyżynki, obrzynki, wieniec, wieńcowe, okrężne. Wicie wieńca pozostawiano zręcznym żniwiarkom, które z najpiękniejszych kłosów pszenicy i żyta wyplatały wie-

odbyły się świeckie uroczystości ze wspólną zabawą. Z wieńca wykruszano ziarno i wsypywano je do worków z ziarnem siewnym.

Nie mamy relacji z przebiegu uroczystości dożynkowych w Charnowie, nie wiemy na pewno dlaczego dożynki 1949 roku odbyły się właśnie w Charnowie. W kronice Zuba odnajdujemy informacje o działalności artystycznej inż. Stanisława Perekladowskiego w Charnowie, a w Pomorskim Wehikule Czasu Marcina Barnowskiego znajduje się zapis: „Pod koniec 1951 roku w powiecie działało 19 spółdzielni. Jedną z najstarszych był założony jeszcze w 1949 roku kolchoz w Charnowie koło Ustki. W na-



Fot. Archiwum Autora

niec w kształcie korony. Obrzędowi towarzyszyła wiara w magiczną moc zbóż. Wieńce dekorowano jarzębiną, orzechami, warzywami i owocami, mirtem, bukszpanem, kwiatami i kolorowymi wstążkami.

Gotowy wieniec zazwyczaj niosła najlepsza żniwiarka, za nią szedł odświętnie przystrojony orszak z narzędziami używanymi w czasie żniw. Na fotografii Romana Zuba z „Kroniki Objazdy” zdobiony wstążkami snop zboża niesie Stanisława Janus. Najpierw wszyscy trafiali do kościoła, gdzie ksiądz święcił wieniec i błogosławił żniwiarzom, a stamtąd wszyscy ruszyli do podworskiego parku, gdzie

grodę za wysokie wyniki we współzawodnictwie pracy, 22 lipca 1951 roku przekazano jej traktor z przyczepą. Ówczesne władze komunistyczne wysoko oceniały także kolchozy w Grabnie i w Bobrownikach.”

Fotografie i zapiski w „Kronice” Romana Zuba pozostają żywym obrazem historii regionu, zupełnie niedawnej, a jednak nieznannej. Odchodzą ludzie, którzy ją tworzyli drobnymi, z pozoru nieważnymi działaniami, ale przecież w ten sposób powstawały niewidzialne więzi łączące nas z historią i regionem słupskim.

**Czesława Długoszek
Objazda**



Teatr dwóch światów

Jeżeli ktoś powie, że są rzeczy niemożliwe do zrobienia, my zawsze wykrzykujemy: – Nie ma! Wystarczy spróbować i być konsekwentnym w działaniu.

Dwa światy. Dosłownie. Zupelnie odrębne, inne temperamy, doświadczenia życiowe, wiek, wiedza, koleje losu, pasje, sprawność i punkt widzenia rzeczywistości. Dwa różne modele pracy i działalności. A jednak tyle wspólnego. Dwa światy połączone w jedną ideę. I mimo wykluczenia społecznego, robiliśmy wszystko, by pokonać trudności i ofiarować ludzkości to, co najpiękniejsze - magię w postaci spektaklu dającego pełną paletę uczuć i doznań.

Kim my właściwie jesteśmy? Wychowankowie Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce, w skrócie „Mosowiaczy” to młodzież trudna, ale nieprzeciętna, nie bojąca się trudnych wyzwań i konfrontacji z otaczającymi innymi światami. Mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie, w skrócie „Depeesowcy” to osoby z zaburzeniami psychicznymi, które przeżyły wiele ciężkich chwil i wciąż walczą z własnymi demonami. Nieufni, ale wierni swoim pasjom. Tacy właśnie jesteśmy. Skomplikowani, trudni, ale za to niesztampowi, uduchowieni i przede wszystkim twórczo nastawieni na artystyczne spełnienie. I tego właśnie chcemy! Teatr jest dla nas świątynią i tym właśnie światem, w którym nie ma podziału na lepszych i gorszych, w którym możemy

być kimkolwiek chcemy, w którym wady obracamy w zalety i wreszcie - w którym głośno mówimy o tym, co myślimy. Tak, chcemy żyć normalnie, być częścią społeczeństwa. I pragniemy tworzyć - dać światu piękno w postaci sztuk teatralnych. Ale to dopiero początek. Każdy dzień daje nam nową siłę. Sprawia, że umacnia się w nas wiara w lepsze jutro i pozytywne widzenie drugiego człowieka. Taki jest sens naszego autorskiego projektu „Teatr dwóch światów. Teatr wykluczonych kluczem do świata eksperymentu”. Dlaczego wspólnie pracujemy? Bo chcemy, pragniemy, widzimy w tym sens. I kropka.

Jak to się właściwie zaczęło? Spotkaliśmy się 14 marca ub. roku, by przeżyć coś pięknego. Zwyczajne, przypadkowe spotkanie w DPS w Lubuczewie. Odbyła się artystyczna prezentacja. Tak właśnie nastąpił początek współpracy twórczej między artystami - amatorami z Lubuczewa i Ustki. Tego dnia bowiem grupa teatralna „Zwierzyniec” działająca przy Centrum Kultury Gminy Ustka wystąpiła dla mieszkańców naszego domu. Ogromną pomoc w realizacji przedstawień dla ludzi chorych ofiarowali wychowankowie Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii, którzy odpowiedzialni byli za sferę techniczną, przede wszystkim dekorację, kostiumy,

muzykę i oświetlenie. Po występie miało miejsce spotkanie, podczas którego artyści z DPS-u i MOS-u opowiadali o swoich doświadczeniach scenicznych. W ten sposób, oprócz wymiany kulturowej, poglądów i doświadczeń teatralnych, nastąpiła integracja trzech różnych środowisk i grup, które połączyło uwielbienie do teatru i pracy twórczej. Z trzech grup - dwie zbliżyły się bardziej.

Drugie spotkanie odbyło się 28 maja ub. roku. Tego dnia grupa „Epitetem po Metaforze” zaprezentowała wychowankom MOS autorski spektakl pt. „Przebudzenie”, po którym odbyły się pierwsze warsztaty artystyczne pn. „Teatr dwóch światów. Teatr wykluczonych kluczem do świata eksperymentu”. Pod takim właśnie hasłem zaczęły odbywać się cykliczne spotkania twórcze (prezentacje, warsztaty, konsultacje, projekcje), a nawet zawody sportowe).

A dlaczego teatr dwóch światów? Ponieważ mowa tu o ludziach społecznie wykluczonych, odsuniętych. Poprzez działania teatralne przenoszą się w inne światy, tworzą, kreują, są twórcami tu i teraz, dając odbiorcy piękno w postaci uzewnętrznionych emocji. Poprzez arteterapię stają się innymi ludźmi - pewnymi siebie, odważnymi, z silną motywacją, z zarysowującą się hierarchią wartości. ►

▶ Teatr daje dumę, wzmacnia wiarę w siebie, daje dużo pozytywnego myślenia, pozwala zapomnieć o trudach dnia codziennego.

Kolejne spotkania umacniały więzi i współpracę. Były dalekimi podwalinami „Teatru dwóch światów”, krokami milowymi w stronę wspólnego przedstawienia. 23 września odbyła się prezentacja „Artysty” - autorskiego spektaklu „Epitetem po Metaforze” w MOS Ustka, a także odbyły się drugie warsztaty artystyczne. W pięciu grupach powstały odrębne interpretacje tekstu literackiego - w ten sposób „narodziły” się etiudy, które uzewnętrzniały sposób interpretacji i widzenia świata. Percepcja każdego z biorących udział w warsztatach była inna i uzależniona od sumy doświadczeń życiowych, postawy i stosunku do otoczenia. Tak narodziła się prawdziwa przyjaźń między zespołami.

25 listopada podczas trzecich warsztatów pn. „Kostium w teatrze” ponad dwadzieścia osób zmierzyło się z trudnym zadaniem stworzenia własnej wersji bajki o Aladynie. Trzy grupy warsztatowe pokazały różne, ale zazębiające się historie, które w końcowym rezultacie dały piękny i intrygujący obraz dalekowschodniej opowieści o miłości, walce dobra ze złem oraz rządzeniu państwem w sposób dobry i sprawiedliwy. Na zakończenie artystycznych działań wszyscy zańczyli do bollywoodzkiego przeboju, by jeszcze bardziej poczuć klimat wschodniego uwielbienia do radoznego życia i pozytywnego nastawienia do świata.

Rok 2014 stał pod znakiem wspólnych warsztatów i trzech spotkań sportowych, podczas których wszyscy mogli poznać swoje charaktery, upór i wolę walki w duchu fair play. Z ciekawością, ale i obawą spoglądaliśmy w kolejny rok, który mógł przynieść wiele niespodzianek. Była obawa, że wypracowane do tej pory metody i zawiązane przyjaźnie po prostu przepadną, staną się jedynie miłym wspomnieniem. Na szczęście czas pokazał coś zupełnie innego. Rok 2015 podopieczni DPS w Lubczewie i MOS w Ustce rozpoczęli przygotowaniami wspólnego przedstawienia teatralnego, którego premiera zaplanowana była na maj, a wiązała się z IV Przeglądem Twórczości Młodzieży „Przetwornik” w Policach. Zaczęły się więc kolejne spotkania, podczas których uczestnicy autorskiego projektu

mogli realizować się artystycznie, doskonalić swój warsztat sceniczny. Nie zabrakło wirtuozerii teatralnej, zabawnych momentów i przede wszystkim wzajemnego zrozumienia, bo wiem aby powstało dzieło końcowe, grupy z dwóch ośrodków musiały się dobrze poznać i zmierzyć ze swoimi słabościami. Siłą połączonych zespołów była kreatywność, dystans do rzeczywistości i ogromna wola realizacji prezentacji wedle własnych potrzeb i uznania. Wszyscy uczestnicy warsztatów zgodnie stwierdzili, że są one nie tylko wymierną korzyścią w postaci przygotowywanych etiud i sztuk, ale również dzięki nim każdy może pozbyć się swoich lęków i pracować nad pozytywną motywacją oraz dobrym nastawieniem do drugiego człowieka. Jednak na drodze do „Teatru dwóch światów” stało wiele przyziemnych, codziennych przeszkód, wymagających ogromnej cierpliwości i kreatywności. Mimo tego udało się zrealizować plan minimum - spektakl

cudem. Nie obyło się bez intelektualnych i merytorycznych dyskusji oraz wielu godzin myślenia koncepcyjnego i kompozycyjnego. W trudzie, znoju i po ciężkich dniach twórczych zmagani powstał „Teatr dwóch światów”, który za każdym razem wyglądał inaczej. Każda kolejna próba zmieniała świat sceniczny. Ale pozostało jedno - piękno współpracy i wzajemny szacunek uczestników projektu. Nigdy żaden z nas nie spotkał się z czymś podobnym - dwa dziwne, wykluczone światy osób pozornie skazanych na porażkę - a tu absolutne zaskoczenie - ogromne chęci do działania i jeszcze lepsze rezultaty. Dlatego jeżeli ktoś nam powie, że są rzeczy niemożliwe do zrobienia, my zawsze wykrzykamy: - „Nie ma!” Wystarczy spróbować i być konsekwentnym w działaniu. Wystarczy przyjazne nastawienie do drugiej osoby, otwartość, chęci i nadzieja, że życie potrafi okazać się piękniejsze niż jest w rzeczywistości. Nie trzeba wiele, by coś zmieniło się



ujrzał światło dzienne. I był głośno oklaskiwany na scenie teatralnej w Policach. Powstał teatr w teatrze. Idea, wokół której skupiliśmy się na początku 2014 roku, stała się faktem. Narodził się nowy świat, który zmierza w nieznany nam kierunek.

Jak powstawał spektakl „Teatr dwóch światów”? Na podwalinie nagrodzonego przedstawienia pt. „Artysta” grupy DPS z Lubczewia, które wygrało Międzynarodowy Przegląd Twórczości w Dąbrowie Górniczej. Początki były trudne. Scałić dwa zespoły w jeden projekt przy ambitnych prowadzących - to graniczyło z

w naszym byciu tu i teraz. Małymi rzeczami można stworzyć dzieła wielkie, monumentalne i nieśmiertelne, ponieważ zapisane w sercach, umysłach i duszach uczestników oraz widzów. Należą się ogromne podziękowania osobom, które w projekt uwierzyły i objęły go opieką. Wielkie słowa uznania kierujemy w stronę prowadzących warsztaty, próby i spotkania, ale przede wszystkim ich uczestników. To w sercach tych ludzi zakwitła idea magii teatru uzewnętrzniona spektaklem.

Krzysztof Surowiec
Dom Pomocy Społecznej
w Lubczewie

Artyści ziemi słupskiej

Fot. Archiwum B. Skierki



Szczególnie kocha anioły

Bardzo lubi rzeźbić, struga różne postacie pastuszków, dziewczyn w pięknie drapowanych sukniach, świętych, a najwięcej aniołów. Anioły to jej ulubiony temat, stał się już jej obsesją.

W życiu każdego z nas istnieje miejsce na ulubiony symbol, motyw, dzieło, które utożsamiane jest z naszymi zainteresowaniami. Artyści wyrażają szerzej swoje pasje poprzez podjęty temat twórczy. Realizując swoje dzieło zmierzają do perfekcji, łącząc pasję, zamysł artystyczny z jego twórczym wykonaniem. Takie dzieło jest osobistą wizytówką, jaką się posługuje każdy twórca. A jakie są przyczyny tego, że artyści obracają się w kręgu ciągle tych samych tematów? Ten wybrany, ulubiony motyw wynika na ogół z głębszej refleksji, z własnych przeżyć lub może być też uniwersalny i wówczas stanowi wielokrotne powtórzenie, tylko w innej formie, detalu i kształcie.

Podjęty temat przez rzeźbiarkę Barbarę Skierkę ma szczególne znaczenie, jest popularny w naszej tradycji i kulturze, często stanowi motyw powtarzający, lecz każda jej praca ma indywidualny charakter i odrębną interpretację. Temat anioła został wykorzystany przez rzeźbiarkę jako zasadniczy, został przejęty w doniosłości religijnej, tradycji i w codziennym kulcie. Postać ta związana jest z kultem biblijnym jako istoty duchowej, zajmującej miejsce w hierarchii bytów między Bogiem a ludźmi. Oprócz

funkcyjnej roli wysłannika lub posłańca Boga ma dla kultury chrześcijańskiej populistyczne znaczenie w postaci Anioła Stróża. Według nauki przedmiotowej angelologii (gr. angelos, łac. angelus - anioł), każdy człowiek otrzymuje od Boga w indywidualnym przydziale Anioła Stróża, który ma czuwać nad nim od chwili jego narodzin. Ma też za zadanie być opiekunem i pomocnikiem w sprawach zbawienia, a Psalm 90, 11-12 Biblii, głosi: „Albowiem aniołom swoim polecił, aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich. Na rękach nosić cię będą, byś nie uraził o kamień nogi swojej”.

Powracam jednak do naszej rzeźbiarki, która rzeźbi już piętnaście lat. Urodziła się na wsi kujawskiej, w ciężkich czasach okupacji. Ojciec po powrocie z wojny był prześladowany przez Niemców i w obawie, aby rodzina nie została wysłana do obozu koncentracyjnego, często zmieniał miejsce. Zamieszkali m.in. w Czerwikach i tam doczekali końca wojny. Potem przeprowadzili się do wsi Kobyłe. Według wspomnień Barbary Skierki, był to czas bardzo ciężki dla rodziny. Tutaj uczęszczała do szkoły podstawowej, a średnią ukończyła w Kościerzynie. Po

zakończonej edukacji rozpoczęła pracę w magistracie, potem pracowała w Komendzie Powiatowej MO w Kościerzynie. Wyszła za mąż za funkcjonariusza MO i wtedy przeprowadziła się do Słupska. Urodziła troje dzieci, które wychowywała, jednocześnie cały czas pracując zawodowo.

Zainteresowania plastyczne wykazywała już w szkole podstawowej. Po raz pierwszy została nagrodzona za rysunek, który był wyeksponowany na wystawie powiatowej. W szkole średniej również dużo rysowała, głównie martwą naturę, postacie, uprawiała też karykaturę. Odrębną dziedzinę jej zainteresowań stanowił haft, robienie na drutach i szycie na maszynie. Dużo nauczyła się od swojej mamy, która również miała zdolności w tym kierunku. Ojciec natomiast zajmował się snycerką, strugał w drewnie różne zwierzęta. Barbara Skierka swoje zainteresowania plastyczne wykorzystywała do szycia strojów dla dzie-



Fot. J. Maziejuk

Artysty ziemi słupskiej

ci, kostiumów na bale karnawałowe - sama również je projektowała, a także do robienia na drutach fantazyjnych sweterków - również według własnych pomysłów. Na drutach zrobiła kopię obrazu P. Picassa z kolekcji Jacqueline - „Sylwetta”. Pomysły, projekty i wykonane dzieła były kilkakrotnie nagradzane w kwartalniku „Sezam”.

Decydujący w życiu artystki był rok 2000, kiedy zaczęła rzeźbić, początkowo w gipsie, chociaż ten rodzaj sztuki okazał się jednak zbyt kłopotliwy do wykonywania w mieszkaniu, w bloku. Mimo wszystko rozpoczęła wielką przygodę swojego życia: uprawianie rzeźby w drewnie i w tym trwa do dzisiaj. Bardzo lubi rzeźbić, struga różne postacie pastuszków, dziewczyn w pięknie drapowanych sukniach, świętych, a najwięcej aniołów. Anioły to jej ulubiony temat, stał się on już jej obsesją, wymyśla ciągle nowe ich postacie z odmiennymi atrybutami.

Bardzo mile mówi o swoim uczestnictwie w słupskim Klubie Plastyka im. Stefana Morawskiego, o organizowanych

plenerach. Ze szczególną sympatią wypowiada się o grupie kolegów rzeźbiarzy, z którymi bardzo się związała. Wspomina, iż miała dużo szczęścia, że trafiła do tego Klubu, bo spotkała w nim wyjątkowe osoby, na które zawsze może liczyć, i które zawsze służą jej pomocą. Z takich bardzo życzliwych osób wymienienia na przykład Jacka Janowskiego, który obdarował ją dętami i od niego dostała pierwsze drewno. Natomiast Zenon Frąckiewicz zamówił dla niej prawdziwe dłuta u swego znajomego i skierował ją do Słupskiego Ośrodka Kultury, do klubu, o którym nie miała pojęcia, że taki istnieje...

Artystka rzeźbi prawie codziennie. Byłem świadkiem, jak bezkształtny kawałek drewna, w artystycznym kunszcie mistrzowskiej dłoni powoli nabiera kształtu przyszłej postaci. Jaka będzie ostateczna forma jej dzieła, zależy zawsze od naturalnego kształtu drewna, od ułożenia sło, barwy i czasem nieprzewidywanych cech, jakim jest również sęk, biel czy narośl. Są to wszystko dodatkowe walory, które rzeźbiarka wykorzystuje tak długo, dopóki nie osiągnie końcowego efektu. Jest mistrzynią wydobycia szczegółów, drobiazgowo rzeźbi swoje postacie, pokazując jednocześnie towarzyszące im detale, a potem

następuje samoocena, która przejawia się na ogół upodobaniem i uwielbieniem tego, co sama stworzyła. Ale z podziwem wypowiada się m.in. o dzie-

łach światowej sławy Gustawa Vigelandy - rzeźbiarza norweskiego.

Barbra Skierka miała liczne wystawy indywidualne i uczestniczyła też w zbiorowych pokazach, była nagradzana w konkursach i otrzymywała wyróżnienia.

Jest laureatką m.in. konkursów: „Morze moja miłość” (zorganizowanego podczas Święta Ryby - 7 lipca 2001 roku) i „Pomorskie Krajobrazy”. Prace swoje wystawiała w Małej Galerii SOK w Słupsku, w Szkole Policji i Muzeum Pomorza Środkowego, w Wejherowie i Warszawie. Otrzymała wyróżnienia - od Towarzystwa Twórców i Miłośników Kultury „Spichlerz” w



Fot. J. Maziejuk



Fot. Archiwum B. Skierki



Miastku w 2014 roku i w konkursie plastycznym zorganizowanym w Słupsku pod patronatem Marszałka Województwa Pomorskiego w 2006 roku. W 2010 zdobyła nagrodę rektora Akademii Pomorskiej. W 2013 - w konkursie zorganizowanym przez SOK otrzymała również nagrodę.

11 czerwca br. roku nastąpiło uwieńczenie jej twórczości, bowiem w podwojach Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego, w budynku starostwa przy ulicy Szarych Szeregów 14 w Słupsku otwarto wystawę jej prac pt. „Dziewczyny i anioły”. W okazjonalnym katalogu napisano m.in.: „Twórczość B. Skierki jest dość osobliwa, bardzo charakterystyczna dla Autorki, świadczy o jej niezwykłej pasji do drewna i podejmowanego tematu”. Na wystawie tej umieściła 16 prac, wśród których dominowały postaci dziewczyn i aniołów w różnych pozach i najczęściej z... ptaszkiem oraz różą lub różami. Kilka miało już swoich nabywców.

Artystka prawie każdego roku bierze udział w plenerach malarско-rzeźbiarskich. Praca w drewnie daje jej szczególne zadowolenie i cieszy się, że może ją wykonywać. Zapowiada, że będzie to robić, dopóki pozwoli jej zdrowie. Ciekawe, że cała trójka jej dzieci jest również uzdolniona plastycznie. Dwaj synowie czekają jeszcze na odpowiedni moment, tak jak i ona czekała, a córka zdobyła wykształcenie plastyczne i już wykorzystuje swoje umiejętności.

Pani Barbara od wielu lat jest na emeryturze i nie tylko rzeźba jest jej ulubionym zajęciem - nadal zajmuje się szyciem. Nadal szyje stroje karnawałowe, na przykład mundury ułańskie, wytworne sukienki i kapelusze. Szyła już stroje dla zespołów tanecznych, obecnie z córką Aleksandrą szyje stroje dla zespołu tanecznego z Mikorowa w gminie Czarna Dąbrówka. Swoje rzeźby wystawia m.in. na Jarmarku Gryfitów w Słupsku, Jarmarku

Dominikańskim w Gdańsku, a także w Swołowie, gdzie też znajdują się nabywcy jej dzieł.

Na zakończenie spotkania zaproponowałem, by wykonała kompozycję rzeźbiarską zatytułowaną „Chóry anielskie”. Zgodnie z angelologią chrześcijańską kompozycja taka grupuje aniołów w trzech hierarchiach i dziewięciu chórach. Te hierarchie to: serafini, cherubini i trony, które kontemplują Boga. Można zaprezentować średniowieczne wyobrażenie o nich, którego oryginalną ilustracją jest obraz Botticelliego „Wniebowzięcie Dziewicy”, znajdujący się w National Galery w Londynie. Zresztą, temat aniołów jest bogaty w przekazy ikonograficzne i może stanowić źródło nieskończonej inspiracji. Mógłby powstać jeszcze na przykład „Ognisty Anioł”, „Upadły Anioł - Lucyfer”, czy praca zatytułowana „Walka z Aniołem”.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

Witkacy na wakacjach w Sł

„Witkacy – za życia związany z Zakopanem jest od dawna kojarzony z tym miastem. W Słupsku stał się rozpoznawalnym symbolem kulturalnym, a słupskie muzeum – domem Witkacego.

Wspaniałe przedsięwzięcie z okazji Roku Witkiewiczów – to wystawa zorganizowana na zasadzie wymiany eksponatów z kolekcji Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Wystawę zasadniczą:

sto fotografii, portretów pastelowych i rysunków ołówkowych oraz materiały dokumentujące życie Witkacego. Natomiast wystawa towarzysząca „Kultura ludowa Podhala” uzupełnia zasadniczą ekspozycję. To właśnie

fi z lat 1893 - 1913. Są to współczesne odbitki, bez retuszy, wykonane z oryginalnych szklanych negatywów. Tematyka zdjęć jest zróżnicowana – oglądamy portrety, autoportrety i pejzaże. Druga część „W kręgu te-



„Witkacy na wakacjach” i towarzyszącą – „Kultura ludowa Podhala” można podziwiać w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Można sparafrazować: Witkacy ze Słupska pojechał w góry do Zakopanego, a Witkacy Zakopiański, jednak bez Ojca, przyjechał nad morze, do Słupska. Jest to niewątpliwa gratka zobaczyć nieznane obrazy, archiwalia i eksponaty towarzyszące, które dzięki realizacji wspólnego projektu dwóch dyrekcji muzeów, dały w efekcie jednocześnie dwie wystawy. W ramach tej wymiany kolekcja zakopiańska po raz pierwszy trafiła do Słupska. Pokazano w sumie ponad

osoba Witkacego stała się pretekstem do przybliżenia kultury góralskiej tu, na Pomorzu Środkowym. Założeniem wystawy jest zaprezentowanie najbardziej charakterystycznych elementów chałupy góralskiej, strojów ludowych – codziennych i odświętnych, instrumentów muzycznych, wyrobów związanych z pasterstwem, łowiectwem, ciesielstwem oraz obróbką skóry.

Wystawa „Witkacy na wakacjach” z kolekcji Muzeum Tatrzańskiego podzielona została na trzy części zatytułowane: „Z domu”, „W kręgu teatralnym” i „Varia”, czyli z łąc. różne rzeczy, rozmaitości. Pierwsza obejmuje sześćdziesiąt fotogra-

atralnym” prezentuje ponad dwadzieścia portretów osób związanych z Towarzystwem Teatralnym działającym w przedwojennym Zakopanem. Na uwagę zasługuje dziewięć portretów przyjaciela S. I. Witkiewicza – Józefa Fedorowicza i jego rodziny. Wyeksponowane zostały również portrety stałej modelki Witkacego – Neny (Jadwigi) Stachurskiej. Spośród wszystkich jej pięćdziesięciu portretowych ujęć pokazano dziewięć. Dwa portrety Neny Stachurskiej – wielkoformatowe reprodukcje zdobią szczyty bloków na słupskim Zatorzu.

W trzeciej części „Varia” uwagę zwraca wczesny portret Józefa Diehla

upsku

- redaktora „Echa Tatrzańskiego”, na łamach którego publikował Witkacy.

Bardzo eksponowany jest Witkacy w 130. rocznicę urodzin, a bardzo słabo ojciec - Stanisław Witkiewicz. Na wystawie są tylko dwa jego zdjęcia - piszącego przy stole z 1895 roku i odwiedzającego góralskie chałupy z lat 1896 - 1899. Fotografie te wykonał syn - S. I. Witkiewicz.



Rep. Portretu Neny (Jadwigi) Stachurskiej

Natomiast w tym roku mija 100. rocznica śmierci Stanisława Witkiewicza (1851 - 1915) reprezentującego monachijską szkołę polskich malarzy - wyznawcy naturalizmu w sztuce i literaturze, twórcy tzw. stylu zakopiańskiego.

Niewątpliwie na przedstawienie zasługuje też wszechstronny dorobek ojca Witkacego.

Na wystawie brakuje też specjalnego, odrębnego działu poświęconego „Litewskim korzeniom szlaku Witkiewiczów” - pełnego zagadek i tajemnic. Jestem pod wrażeniem najlepszego opowiadania taternickiego pt. „Na przełęczy. Wrażenia

i obrazy z Tatr”. Jest to najbardziej znany szkic literacki autorstwa Stanisława Witkiewicza, opisujący przejście od Mięguszwieckiej Przełęczy pod Chłopkiem w 1888 roku - stąd wziął się ten tytuł, a opis jest ciągle aktualny.

Stanisław Witkiewicz - ojciec Witkacego jest wielce zasłużony dla kultury polskiej i powinien znaleźć właściwe miejsce na piedestale swoich wspaniałych dokonań. To właśnie wysiłek edukacyjny ojca i przekazywane nauki ukształtowały „genialnego” Witkacego.

Powracam jednak do wystawy. Posiada ona starannie i atrakcyjnie przygotowany katalog, który prezentuje osiemdziesiąt osiem ilustracji barwnych, trzydzieści dwie czarno-białe, cztery teksty i wybór literatury. Posiada wysoki poziom edytorski. Wprowadzenie napisały dyrektorki obu muzeów: Anna Wende-Surmiak z Zakopanego i Marzena Mazur ze Słupska. Szczegółowo została omówiona ekspozycja wystaw. Ciekawostkę stanowią zastosowane orientacyjne małe ikony, które wskazują, jakie teksty odnoszą się do wystawy w Słupsku, a jakie do zakopiańskiej.

Należy również nadmienić o szczególnej rocznicy dla Muzeum Pomorza Środkowego. W tym roku przypada bowiem 50-lecie powstania kolekcji Witkacego. Muzeum w 1965 roku pozyskało po raz pierwszy 110 pastelów Stanisława Ignacego Witkiewicza, jako zaczątek przyszłych zasobów tego artysty w naszym mieście. Obecnie muzeum w Słupsku posiada największy w Polsce zbiór dzieł Witkacego - niezwykłego artysty, który jednak przez całe życie związany był z Zakopanem.

Otwarcie wernisażu było uroczyste i zachwycające. Można było po-

dziwiać występ góralskiej kapeli z Kościeliska - Polaniorze. Przygotowano poczęstunek z góralskiej kwaśnicy z wędzonym żeberkiem.

Dobrze się stało, że dwa tak daleko położone od siebie ośrodki współpracują teraz ze sobą, jednocześnie udostępniając swoje kolekcje szerszej publiczności. Można powtórzyć maksymę zawartą w katalogu: „Witkacy - za życia związany z Zakopanem jest już od dawna kojarzony z tym miastem. W Słupsku stał się rozpoznawalnym symbolem kulturalnym, a słupskie muzeum - domem Witkacego.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Fot. Archiwum Autora

O Polsce – bez Polaków

Europę podzielono na dwa wrogie obozy militarne i gospodarcze, które rozdzieliła „żelazna kurtyna” na wiele lat, a Polska znalazła się wówczas w zasięgu bloku państw komunistycznych. Tak przedstawiają się dzieje Polski, które we współczesnej historii przyjęto się określać jako wynik układu post jaltańskiego, który przetrwał przeszło pół stulecia.

Trzy wielkie konferencje międzynarodowe - w Teheranie, Jaltie i Poczdamie miały decydujące znaczenie dla świata po II wojnie światowej. Ustalały nowy porządek polityczny w Europie po upadku Niemiec. Wyznaczały dla Polski nie tylko nowe granice, ale przyczyniły się do radykalnych zmian ustrojowo - niepodległościowych. Wszystko, co spotkało Polskę po drugiej wojnie światowej, było wcześniej omawiane na wspomnianych konferencjach. Decydowano na nich o przyszłości Polski bez udziału Polaków. Kiedy rozpoczynała się wojna, obowiązywały określone sojusze, na przykład ten pomiędzy Polską a Wielką Brytanią i Francją. Jednak w godzinie pró-

by nie zdały egzaminu. Jedyny pakt wojskowy - Ribbentrop - Mołotow spełnił zawarte postanowienia. Ale on przyczynił się do rozpętania II wojny światowej.

Polska we wrześniu 1939 roku była pod jednoczesną okupacją Niemiec i ZSRR. Taki stan trwał do czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy zaatakowały swojego sojusznika - Związek Radziecki. Ten w odpowiedzi zawarł pakt z Wielką Brytanią. Było to możliwe, ponieważ, pomimo zaatakowania Polski w 1939 roku, Wielka Brytania nie wypowiedziała wojny ZSRR, gdyż pakt z Polską mówił tylko o ataku ze strony III Rzeszy. Podpisano Kartę Atlantyczną, która stała się zaczynem do sojuszu amerykańsko-

brytyjskiego. Sytuacja jeszcze bardziej zmieniła się po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny po tym, jak zostały zaatakowane przez Japonię. Kilka dni później wojnę Ameryce wypowiedziały także Niemcy. Już jednak wcześniej w USA uruchomiono program pomocowy lend-lease w walce z Niemcami, w ramach którego dostarczano broń do walczącej Wielkiej Brytanii i ZSRR. Tak powstała Wielka Koalicja, która decydowała nie tylko o rozwiązaniach militarnych, ale również o politycznych, a połączył ją wspólny wróg - Niemcy. W Wielkiej Koalicji aliantów główne role odgrywały Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Radziecki. Właściwie to one decydowały o wszystkim, nie-

kiedy nawet nie informując pozostałych zainteresowanych państw o swoich ustaleniach. Polska - największe podziemne państwo okupowanej Europy wspomagała swoimi żołnierzami sojuszników. Mimo tego straciła swoją suwerenność w 1945 roku.

Dziś próbuje się ustalić, jak na międzynarodowych konferencjach w Teheranie, Jalcie i Poczdamie rozgrywano kartę polską? Na początku rozmów podstawową kwestią były sprawy militarne, ponieważ armia niemiecka była jeszcze silna i mocno trzymała się niemal na wszystkich frontach. Później, wraz z sukcesami armii alianckich, tematyka zmieniała się i nastąpiło przeniesienie ciężaru rozmów - z wojskowych, które ciągle były prowadzone, na polityczne, w tym o nowym kształcie Europy po zakończeniu II wojny światowej. Między aliantami występowało wiele różnic w poglądach i nawet Stany Zjednoczone z Wielką Brytanią nie zawsze były zgodne. Szczególnie było tak, kiedy prezydentem USA był Franklin Delano Roosevelt. Zaufał on Stalinowi i wierzył w możliwość porozumienia się z nim w sprawach przyszłego pokoju dla Europy.

Wschodnią granicę Polski wytyczono wzdłuż linii Curzona, która posiadała aż dwie linie, ale żadna z nich nigdy nie stanowiła projektu granicy. Te wykorzystał na konferencji Teherańskiej Stalin, który przesunął Polskę o 200 kilometrów na zachód od linii Curzona, okroił nasze terytorium o 48 procent i w ten sposób na wschodzie poszerzył swoje imperium. Wystąpił również jako arbiter w sporze polsko - czeskim o granice południowe. Paradoksalnie stał się obrońcą polskich granic na zachodzie, mając na uwadze posiadanie w sferze swojej zależności jak najwięcej terytorium byłych Niemiec.

Historia linii Curzona...

...jest dla Polaków ważnym elementem zabiegów politycznych. Jej pomysł datuje się od 11 lipca 1920 roku, kiedy brytyjski minister spraw zagranicznych George Curzon wysłał notę do swego odpowiednika w rządzie bolszewickim Georgija Cziczeryna. Przyczyną była ówczesna sytuacja polityczna, w której państwa zachodnie obawiały się, że Polacy nie zdołają powstrzymać czerwonej nawały nadciągającej z Rosji na Zachód. Zagrożenie było tym poważniejsze, że

wrzało również w Niemczech i wizja światowej rewolucji stawała się jak najbardziej realna. Próbując zapobiec marszowi Armii Czerwonej na Polskę i Berlin, szef brytyjskiej dyplomacji zaproponował ustanowienie linii demarkacyjnej rozdzielającej wojska obu stron. Jej przebieg z grubsza odpowiadał granicy polsko - rosyjskiej po II rozbiorze. Ponieważ Galicja ze Lwowem znajdowała się pod panowaniem Austrii, która w traktacie pokojowym z 1919 roku oddała ten region do dyspozycji mocarstw sprzymierzonych, Curzon pociągnął swoją linię niemal prosto na południe, do granicy z Czechosłowacją. To oznaczało, że Lwów miał zostać po stronie polskiej i wtedy wydarzyło się coś bardzo tajemniczego. Przed wysłaniem depeszy do Cziczeryna nieznana ręka wyrysowała inną wersję linii Curzona, przesuwając ją na zachód od Lwowa. I w takiej postaci dotarła ona do szefa bolszewickiej dyplomacji. Bolszewicy w 1920 roku nie podjęli rozmów na temat propozycji Curzona. Lenin skwitował ją krótko: „za pomocą drobnego szachrajstwa imperialiści chcą zatrzymać światową rewolucję”. Przeliczył się, bo Polska nie tylko obroniła swą niepodległość, ale doprowadziła do podpisania korzystnego dla niej traktatu ryskiego. Zgodnie z jego ustaleniami nasza wschodnia granica biegła ok. 200 kilometrów na wschód od linii Curzona. Moskwa nigdy się z tym nie pogodziła.

Linia Curzona była „bombą z opóźnionym zapłonem”. Ze względu na propagandowy wizerunek „obrońcy światowego pokoju” ZSRR nie mógł oficjalnie zgłaszać roszczeń terytorialnych. Zamiast tego zaczął lansować teorię zjednoczenia zachodniej Ukrainy i Białorusi z macierzą. 2 lutego 1943 roku Niemcy skapitulowali pod Stalingradem. Armia Czerwona przeszła do kontrofensywy, a radzieccy dyplomaci zaraz zaczęli przekonywać aliantów do uznania za przyszłą granicę Polski linię Curzona. Przy każdej okazji podkreślali, że pomysłodawcami byli Brytyjczycy, czyli strona formalnie neutralna, a Kreml jedynie akceptuje ich propozycję. Londyn znalazł się więc w kłopotliwej sytuacji, Waszyngton dostał wygodny pretekst do umycia rąk. Wysłana ćwierć wieku temu depesza z Londynu nagle ukazała swą złowieszczą moc. W marcu Moskwa zażądała uznania linii Curzona od

polskiego rządu na wychodźstwie. Gabinet gen. Sikorskiego odrzucił stalinowski dyktat. Decyzję o zmianie granic i oddaniu niemal połowy terytorium państwa powinien podjąć naród w referendum lub wybrany w wolnych wyborach parlament. Żaden rząd nie miał takich uprawnień. Stalin o tym wiedział wykorzystując pretekst zwrócenia się polskiego rządu emigracyjnego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie odkrytych przez Niemców grobów w Katyniu - zerwał stosunki dyplomatyczne z polskimi władzami w Londynie. Zarzucił im, że „posługując się oszczerczym fałszyfikatem dążą do wymuszenia ustępstw terytorialnych kosztem Białorusi, Litwy i Ukrainy”.

Konferencja Teherańska...

...to pierwszy akt sprawy polskiej. Można określić za obłudną zgłoszoną na niej propozycję Stalina o przyszłej granicy wschodniej, o której się on wypowiadał, że jest „nie do odrzucenia”. W dniach od 28 listopada do 1 grudnia 1943 roku w Teheranie odbyło się pierwsze spotkanie prezydenta USA - Franklina Delano Roosevelta, premiera Wielkiej Brytanii - Winstona Churchilla i przywódcy ZSRR - Józefa Stalina. Podczas niego dokonano podziału krajów Europy na alianckie strefy operacyjne. Polska znalazła się w strefie operacyjnej Armii Czerwonej. Poza tym nie podjęto zbyt wielu decyzji, które dotyczyłyby przyszłego państwa polskiego. Natomiast postanowiono, że granica między Polską a ZSRR będzie przebiegać wzdłuż linii Curzona wraz z włączeniem do Polski Prus Wschodnich oraz ziem opolskiej. Z następnych tematów polskich poruszono dwie kwestie. Pierwszą była sprawa Katynia, która na krótko przed konferencją wyszła na jaw i zakończyła się zerwaniem stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządem polskim w Londynie a ZSRR. Na konferencji w Teheranie Stalin przedstawił zachodnim sojusznikom oskarżenie, że agenci rządu polskiego przebywający w okupowanym kraju są powiązani z Niemcami i zwalczają partyzantów walczących z okupantem.

Drugą polską sprawą była kwestia przyszłych polskich granic. Stalin - ignorując fakt, że linia Curzona nie była projektem granicy, lecz rozdzielania wojsk - przedstawił ją jako zgodną z radzieckimi oczekiwaniami pro-

pozycję brytyjską. Dopiero w trakcie debaty Anglicy zorientowali się, że istnieją dwie linie. Stalin zaprezentował dokument w wersji Namiera, a dyplomacja brytyjska powoływała się na oryginał, który pozostawiał Lwów po stronie polskiej. W trakcie zaciętych dyskusji wykreślono na mapach aż sześć potencjalnych granic polsko - radzieckich. Wariant A przewidywał powrót do granicy sprzed 17 września 1939 roku i został od razu odrzucony. Warianty B i C były korzystne dla Polski, gdyż pozostawiały przy niej Wilno, Grodno, Tarnopol i Lwów. Wariant D odpowiadał pierwotnemu linii Curzona, przyznawał Polsce Lwów i Drohobycz. Wariant F nie wzbudzał większych kontrowersji, gdyż dotyczył podziału dawnych Prus Wschodnich. Za to w wersji E Stalin własnoręcznie, zielonym ołówkiem, wyrysował linię graniczną i dał do zrozumienia, że jest to propozycja nie do odrzucenia.

Zgodnie z nią Polska traciła Wileńszczyznę, Grodzieńszczyznę i Lwów. Ostateczną decyzję odłożono do następnego spotkania. W grę wchodziły już jednak tylko warianty D i E. Churchill i Roosevelt nie oznajmili: „tak”, ale nie odparli też: „nie”. Podjęcie ostatecznych decyzji odłożyli do następnego spotkania. Podsumowując konferencję Stalin „ograł swoich partnerów”. Pod pozorem tworzenia samodzielnych republik radzieckich z mieszkańców większości etnicznych odebrał Polsce rdzenne ziemie na wschodzie. Granice dowolnie przesunął otrzymując cichą aprobatę partnerów „wielkiej trójki”. Z opublikowanych protokołów wynikała obłudna rola Stalina, która w konkluzji prowadzonych rozmów sprowadziła się do stwierdzenia: „gotów jestem odstąpić Polsce każde terytorium, o ile okaże się, że ludność polska jest tam w większości - choćby o jednego mieszkańca”.

Konferencja jałtańska...

...w dniach 4 - 11 lutego 1945 roku podjęła kwestie najważniejsze dla Polski - jej przyszłych granic i rządu. Obrady prowadzono w pałacu Potockich w Liwadii, leżącej w pobliżu Jalty na Krymie. Wzięli w niej udział: Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i Józef Stalin. Spotkanie miało decydujące znaczenie dla powojennego kształtu Europy. Konferencja rozpoczęła się od przeglądu sy-

tuacji na frontach II wojny światowej. Był to czas, gdy alianci znajdowali się w ofensywie na wszystkich frontach, a klęska Niemiec i ich sojuszników była tylko kwestią czasu. Wszyscy przywódcy zgadzali się co do wschodniej granicy, która miała przebiegać na linii Curzona, a jedynie Roosevelt zaproponował nieznaczny modyfikację na południowym odcinku, aby Lwów należał do Polski. Nie uzyskało to jednak poparcia pozostałych polityków. Kwestię granicy zachodniej, mimo że omawiano ją po raz kolejny, przełożono na inny czas. Zgodzono się jednak, że Polska powinna otrzymać znaczny przyrost terytorium na zachodzie i północy.

Więcej sporów wzbudziła kwestia przyszłego rządu polskiego. Był to czas, kiedy działały dwa rządy - jeden w Londynie, drugi w Warszawie. Pierwszy nie był uznawany przez ZSRR, drugi nie był uznawany przez Zachód. W toku dyskusji nastąpiło jednak znaczne zbliżenie stanowisk i zdecydowano się utworzyć wspólny rząd, w skład którego wchodziłoby politycy z obu dotychczasowych ośrodków władzy. Nowy twór miał się nazywać Polski Tymczasowy Rząd

Jedności Narodowej. Głównym jego zadaniem miało być zorganizowanie i przeprowadzenie wolnych i nieskrępowanych wyborów powszechnych. Ustalenia te pozostały jednakże do końca nieznane polskim politykom i obywatelom. Poza tym zatwierdzono przebieg granicy Polski i ZSRR wzdłuż linii Curzona. W wyniku tej decyzji Polska utraciła Kresy Wschodnie z Lwowem.

Powróciła sprawa odszkodowań. ZSRR chciał uzyskać od Niemiec jak najwięcej, lecz alianci zachodni obawiali się, że gdyby te żądania zostały spełnione, musieliby potem utrzymywać ze swoich pieniędzy całe państwo niemieckie. Zdecydowano więc, że ZSRR ściągnie reparaacje ze swojej strefy okupacyjnej, ale musi tam zostawić tyle, żeby Niemcy mogli się utrzymywać bez pomocy zewnętrznej. Niejako przy okazji Związek Radziecki ogłosił, że roszczenia ze strony Polski pokryje ze swojej części reparacji. Alianci zachodni swoje reparacje mieli otrzymać ze swoich stref okupacyjnych z zastrzeżeniem, że pewna część urządzeń przemysłowych zostanie przekazana ZSRR.



Fot. Archiwum Autora

Konferencja w Poczdamie...

...w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 roku miała też istotne znaczenie w ustaleniu ostatecznych granic Polski. Wielka Trójka obradowała w pałacyku Cecilienhof. Było to jej ostatnie spotkanie. Ze strony amerykańskiej na konferencję przybył nowy prezydent Harry Truman, na czele delegacji brytyjskiej stał - w I fazie konferencji Winston Churchill, a od 28 lipca - premier Clement Attlee. Delegacji radzieckiej przewodniczył Józef Stalin. Ze starej Wielkiej Trójki w Poczdamie przez cały czas był jedynie Stalin. Churchill przyjechał na konferencję, ale w międzyczasie dowiedział się o wynikach wyborów w Wielkiej Brytanii, które jego partia przegrała i wkrótce zastąpił go nowy premier. Zmienił się także prezydent Stanów Zjednoczonych, bo nieżyjącego Roosevelta zastąpił Harry Truman. Ta druga zmiana była bardzo znacząca, bowiem nowy prezydent nie był tak zapatrzony w Stalina, dostrzegał raczej zagrożenia płynące z jego strony. Obrady nie były już tak łatwe i przyjazne. Coraz bardziej dało się zauważać początki konfrontacji obu mocarstw.

ZSRR jasno obstawał przy tym, co ustalono w Jalcie, czyli granicy na Odrze, a bardziej na południu i na Nysie Łużyckiej. Churchill nie chciał aż takiego przyrostu terytorialnego Polski na zachodzie, obawiając się, że za bardzo wpłynie to na sytuację gospodarczą Niemiec. Ostatecznie decyzję w tej kwestii Wielka Brytania uzależniła od odpowiedzi polskiego rządu na szereg pytań postawionych przez przedstawicieli brytyjskich. Dotyczyły one wolnych wyborów, praw obywatelskich, stosunku władz do Polaków powracających zza granicy, łączności lotniczej Warszawy z Londynem. Obecni w Poczdamie przedstawiciele Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej udzielili odpowiedzi na wszystkie te dręczące Brytyjczyków kwestie, a ci ostatecznie zgodzili się na granicę na Odrze i Nysie, zastrzegając, że końcowe porozumienie w tej sprawie będzie musiało być podpisane na konferencji pokojowej.

Do tego czasu wszystkie nabyte przez Polskę ziemie na zachodzie i północy miały być jedynie pod polskim zarządem, a nie od razu włączone w skład jej terytorium. Jednak o trwałości tych rozwiązań przekona-

ła już następna decyzja mocarstw - o przesiedleniu mniejszości niemieckiej z terenów Polski, Czechosłowacji i Węgier na teren nowych Niemiec. Wojna w Europie była już zakończona, a za kilka dni na dwa japońskie miasta zostały zrzucone bomby atomowe. Planowano jeszcze zorganizować prawdziwą konferencję pokojową, ale z powodu początku zimnej wojny nigdy do niej nie doszło, a ustalenia poczdamskie obowiązują do dzisiaj.

Podczas konferencji poczdamskiej podjęto także inne ważne ustalenia w sprawie Polski. Przyznano Polsce za szkody wojenne i za zniszczenia 15 proc. reparacji wojennych z udziału otrzymanych przez ZSRR i miała to być istotna pomoc dla odbudowującego się państwa polskiego. Jednak decyzja ta nigdy nie została zrealizowana. Zdecydowano o przesiedleniu mniejszości niemieckiej z terenów Polski. Byłe Wolne Miasto Gdańsk miało odtąd znajdować się pod zarządem państwa polskiego. Co do granicy północno - wschodniej, Polsce i ZSRR przyznano Prusy Wschodnie. Tereny na północ od linii Braniewo - Gołdap do styku granic z Litwą przejął ZSRR, a na południe od tej linii - Polska.

Podsumowując, Polska mimo zakończenia wojny nie odzyskała pełnej niepodległości. Najbliżsi sojusznicy Polski ulegali ciągle ZSRR, mając na uwadze tylko własne korzyści, nie liczyli się z polskim zbrojnym udziałem w Wielkiej Koalicji. Narzucony system ustrojowy całkowicie uzależniał Polskę od ZSRR. Decyzje podejmowane nie były w żaden sposób konsultowane z zainteresowanymi państwami, których dotyczyły. O ile w przypadku Niemiec czy ich sojuszników było to zrozumiałe, o tyle w przypadku państw aktywnych uczestników koalicji antynazistowskiej - było nie do przyjęcia. Ostatecznie jednak przyjęte rozwiązania okazały się skuteczne i kolejna wojna światowa nie wybuchła. Jedyna wojna, jaka miała od tego czasu miejsce w Europie - seria konfliktów na Bałkanach w latach dziewięćdziesiątych - była już po upadku systemu jaltańskiego. Jednak na kontynencie europejskim najważniejsze ustalenia pokonferencyjne przyczyniły się do podziału Europy na dwa wrogie obozy militarne i gospodarcze, które rozdzieliła symboliczna „żelazna kurtyna” na wiele lat.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk





Łódzkie klimaty

Miasto Łódź poszukuje nowej tożsamości, łączy swoją bogatą przeszłość z budowaniem przyszłości.

W Łodzi mieszka ponad 700 tysięcy mieszkańców. W ostatnich dwudziestu pięciu latach ich liczba zmniejszyła się o 140 tysięcy! Młodzież masowo wyjeżdża, ludność się starzeje i wymiera. Wydawałoby się, że miasto przy braku wielkiego przemysłu włókienniczego teraz upada, a jednak tak nie jest. W rankingu największych miast polskich Łódź zajmuje obecnie trzecie miejsce. Jako ciekawostkę można odnotować, że zaraz po II wojnie światowej, pełniła funkcję tymczasowej stolicy, ze względu na mniejsze zniszczenia oraz centralne położenie w nowych granicach Polski. Spośród wszystkich aglomeracji europejskich Łódź jest jedynym miastem, którego rozwój dokonał się drogą nie powolnej, stopniowej ewolucji, lecz w fenomenalnie szybkim tempie. Wskutek gwałtownego rozwoju stała się w XIX, a następnie XX wieku jednym z większych na świecie ośrodków przemysłu włókienniczego (bawełniany, wełniany, dziewiarski). W latach dwięćdziesiątych XX wieku nastąpił jednak jego niemal całkowity upadek i władze miejskie zostały zmuszone

do rozwijania innych gałęzi przemysłu. Przyniosło to pewne rezultaty. Z miasta podupadłej monokultury tekstylnej, Łódź przekształciła się w jeden z atrakcyjniejszych regionów inwestycyjnych w Polsce. Stała się m.in. jednym z dominujących w Europie ośrodków produkcji sprzętu AGD. Zainwestowały tu takie firmy, jak Merloni Indesit czy Bosch/Siemens, zachęciły też swoich poddostawców do przeniesienia produkcji do Łodzi. W 2006 roku otworzył w Łodzi swoją nową fabrykę Gillette, największy na świecie producent ostrzy i maszynek do golenia. Wybudowanie fabryki zajmującej ponad 92 tysięcy metrów kwadratowych kosztowało 120 milionów euro i trwało dwa lata. W 2007 roku amerykański producent komputerów - Dell wybudował fabrykę, w której zatrudnienie znalazło ok. 2,5 tys. osób, a u jego kooperantów kilka razy więcej. Zbudowany nowy zakład, wraz z parkiem technologicznym, magazynami i siecią transportową kosztował ok. 200 milionów euro. W Łodzi produkowane są serwery nowej generacji i dwa typy notebooków. Większość produkcji

trafia do Polski i Europy Środkowo-Wschodniej. Sporą zasługę w rozwoju przemysłu ma Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna, która w 2005 roku uruchomiła najwięcej w Polsce fabryk z wszystkich stref. Duże znaczenie miało też skorzystanie przez Łódź z usług firmy doradczej Mc Kinsey and Company, która pomogła w sprowadzaniu zagranicznych inwestorów. Od 2005 roku zaczęto odnotowywać wzrost produkcji sprzedanej przemysłu. Największą produkcję odnotowały przedsiębiorstwa z branży maszyn i urządzeń (wzrost o 55,7 proc.). Mimo to produkcja sprzedana przemysłu w Łodzi jest wciąż na niższym poziomie jak w innych dużych miastach Polski, na przykład Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie.

Łódź to wyjątkowe miasto.

Warto przybliżyć jego najbardziej rozpoznawalną i kultową ulicę Piotrkowską, która stanowi historyczną, rozwojową oś urbanistyczną miasta, biegnącą z południa ku północy. Powstała w latach dwudziestych XIX

wieku jako fragment starego traktu piotrkowskiego i łączyła miejscowości położone między Piotrkowem Trybunalskim a Łęczycą, a faktycznie biegła z Krakowa do Torunia. Jest jedną z najdłuższych ulic handlowych Europy, liczy 4,2 km długości i w całości została wpisana do rejestru zabytków ze względu na unikalną zabudowę. W kraju nie ma podobnej ulicy, na której zachował się tak oryginalny zespół XIX-wiecznej zabudowy wielkomiejskiej, wzniesionej w stylu historyzmu, eklektyzmu lub fantazyjnej secesji. Ulica Piotrkowska na najciekawszym odcinku jest zamknięta dla ruchu, jest najdłuższym pieszym deptakiem i pasażem stanowiącym centrum handlowe, kulturalne i towarzyskie miasta. Na wyróżnienie zasługują kamienice, pałace i kultowe rezydencje fabrykantów „polskiego Manchesteru”, jak nazywano kiedyś miasto Łódź. Spotykamy tu m.in. okazałą kamienicę Jana Petersillego, pałac Juliusza Roberta Kindermanna z mozaiką i eklektyczną kamienicę Maksymiliana Goldfedera. Wiele tutaj atrakcyjnych niespodzianek. Umiejscowione są na niej ławeczki najsłynniejszych łodzian: Artura Rubinsteina (gra na fortepianie), Juliana Tuwima czy Władysława Reymonta - naszego noblisty za powieść „Chłopi” i autora kultowej historycznej opowieści „Ziemia Obiecana”. Odnajdujemy tutaj najdłuższy w Polsce Pomnik Zasłużonych Łodzian z przełomu tysiącleci utrwalony na nawierzchni ulicy w postaci tysięcy brukowych kostek żeliwnych z tabliczkami imion i nazwisk fundatorów. Jest też Aleja Gwiazd i Galeria Sławnych Łodzian. Ulica Piotrkowska stanowi niewątpliwą atrakcję na skalę europejską i naprawdę miło jest po niej spacerować. W oficynach zabytkowych kamienic mieszczą się dziś restauracje, puby, dyskoteki, ogródki uliczne i inne atrakcje dla łaknących odpoczynku łodzian i coraz większej liczby turystów z kraju oraz Europy.

Najczęściej odwiedzanym miejscem na tej ulicy jest ostatnio realizowany projekt pod nazwą OFF Piotrkowska Center dla kreowania alternatywnej kultury. To jedno z wielu miejsc, gdzie znaleźli przystań projektanci mody, wystroju wnętrz, współcześni dekoratorzy i różni designerzy. Można tutaj kupić ubrania niszowych twórców, mając pewność o ich unikalności. Prezentują się tutaj światowe firmy. Można tu też poznać

najnowsze trendy w meblarstwie. Wiele pracowni architektonicznych przedstawia swoje pomysły urządzenia wnętrz mieszkalnych i biurowych, często wg koncepcji modernistyczno-futurystycznych. Miejsce to uzupełniają liczne kawiarnie, restauracje, kluby muzyczne, sale prób, przestrzenie wystawiennicze. Serwuje się tu nie tylko znakomite dania, ale prowadzi się też permanentną działalność kulturalną. Wszystko zostało utworzone dla ludzi zdolnych, mających koncepcję i poszukujących własnych rozwiązań, kierujących się niczym nieograniczaną wyobraźnią.

W konkluzji można stwierdzić, że współczesna Łódź wzornictwem stoi i promuje najnowocześniejsze światowe trendy, koncepcje i rozwiązania. OFF Piotrkowska Center to unikalny w skali ogólnopolskiej projekt skupiający przedstawicieli przemysłów kreatywnych. Przy Piotrkowskiej

nia aktywizację tego miejsca. To tu na reprezentacyjnej ulicy Łodzi odbywa się Polski Tydzień Mody.

Łódzki Luwr.

Największa rezydencja fabrykancka w Polsce - Pałac I. K. Poznańskiego - pomnik historii i wielkości Łodzi, nazywany jest Łódzkim Luwrem. Dziś mieści się tu Muzeum Miasta Łodzi, potężny obiekt reprezentujący w architekturze różnorodne style stanowił siedzibę założyciela największej potęgi przemysłowej tego miasta. Dzięki dyrektorowi muzeum pani Małgorzacie Laurentowicz - Gras, a szczególnie znakomitemu przewodnikowi Cezaremu Pawlakowi, mogłem poznać wszystkie sale pałacu i stałe wystawy o największych łodzianach: światowej sławy pianinie Arturze Rubinsteinie i największym bohaterze Polskiego Państwa Podziemnego - Janie Karskim. Zwiedziłem wnętrza,



138/140 powstał najmodniejszy dziś w Łodzi punkt na kulturalnej mapie miasta. Na terenie dawnej fabryki bawelny Franza Ramischa realizowany jest projekt, którego celem jest stworzenie alternatywy dla głównego konsumenckiego nurtu, nowego kierunku kształtującego ten obszar na wzór bohemy tętniącej życiem tylko w sobie właściwym tempie. Mury fabryki stały się miejscem rozwoju kultury, sztuki i kreatywnego biznesu. Znakomita lokalizacja pomaga w rozwoju kreatywnej działalności, która zapew-

nić zaskakują wielością stylów. Secesyjna klatka schodowa prowadzi wprost do neobarokowej wielkiej jadalni i sali balowej. W tym znakomicie odnowionym wnętrzu organizowane są koncerty, przedstawienia, wystawy oraz spotkania towarzyskie. Ta neobarokowa budowla sąsiaduje z potężnymi murami fabryki i osiedla robotniczego. Wykorzystując teren i budynki dawnego kompleksu fabrycznego Izraela Poznańskiego utworzono Centrum Handlowe Manufaktura - największe centrum kultury, roz-

rywki i handlu w Polsce. Został zrealizowany unikalny projekt rewitalizacji na skalę europejską. Polegał na połączeniu w sobie nowoczesnych form z architekturą odnowionych XIX-wiecznych zabudowań fabrycznych. Manufaktura to kompleks architektoniczny o różnorodnych funkcjach użytkowych. Na powierzchni 27 hektarów znajduje się m.in. Muzeum Fabryki, Muzeum Sztuki, ponad 300 sklepów, multikino, są restauracje.

Godne uwagi są też zabytki wyjątkowe i nawiązujące do bogatej przeszłości miasta. Do nich można zaliczyć: „Białą Fabrykę” i „Księży Młyn”, które mają odnotowane ciekawe dzieje w historii miasta, a obecnie stanowią odrębną przestrzeń publiczną do zwiedzania. Biała Fabryka Ludwika Meyera to Centralne Muzeum Włókiennictwa mieszczące się w jednym z najciekawszych klasycystycznych obiektów industrialnych Łodzi. W jego zbiorach znajdują się narzędzia, maszyny włókiennicze, tkaniny historyczne i współczesne oraz ubiory. Muzeum to organizuje Międzynarodowe Triennale Tkaniny Artystycznej. Przy nim znajduje się Skansen Drewniane-go Budownictwa Łódzkiego, prezentujący pięć domów tkaczy, kościół, secesyjną willę oraz co najważniejsze - prezentowana jest w nim pierwsza zainstalowana na ziemiach polskich w 1839 roku maszyna parowa do napędzania urządzeń tkackich. Księży Młyn to rozległa dzielnica fabryczno-mieszkaniowa, którą stworzyli fabrykanci Grohmanowie i Scheiblerowie, początkowo konkurenci, a od 1921 roku wspólnicy, zarządzający największym zakładem bawełnianym w Europie. Ta świetnie zachowana tkanina miejskiej Łodzi powstawała i była kształtowana przez K. Scheiblera, przybyłego z Niemiec, ówczesnie najbogatszego fabrykanta w Królestwie Polskim. Było to miasto „w mieście”, w skład kompleksu wchodziła przędzalnia wyrobów bawełnianych - dziś po rewitalizacji, znajdują się tu lofty - mieszkania i apartamenty hotelowe.

Łódź to filmowa stolica Polski...

...która już od siedemdziesięciu lat kształci kolejne pokolenia największych twórców polskiego i światowego kina. Początek datowany jest na rok 1945, gdy przy ulicy Łąkowej 29 utworzono Wytwórnię Filmów Fabu-

larnych i tutaj przez kolejne lata powstawała większość polskich produkcji filmowych. W pobliżu znajduje się Łódzka Filmówka - Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. L. Schillera. Tutaj studio wali m.in. Roman Polański, Krzysztof Kieślowski i Andrzej Wajda.

W Łodzi spotykamy niemal wszędzie zabytkowe obiekty, które w wyniku adaptacji przystosowano o współczesnych funkcji. Największe jednak przedsięwzięcie to obecnie prowadzone ogromne prace nad przebudową i powstaniem współczesnego centrum. Nowe Centrum Łodzi to obecnie największy plac budowy w Polsce. Realizowany jest projekt potężnej rewitalizacji i nowej urbanizacji na powierzchni 100 hektarów w samym sercu miasta. Projektantem jest światowej sławy, znakomity luksemburski architekt - urbanista Rob Krier. W centralnej części znajduje się budowany obecnie nowy, podziemny dworzec Łódź Fabryczna, jako element infrastruktury komunikacyjnej i część planowanego korytarza kolei dużych prędkości, mający połączyć Warszawę, Wrocław i Poznań z Łodzią. Uzupełnieniem funkcji dworca jest przewidywana przestrzeń komercyjna - usługowa i mieszkalna. Zaplanowano także przebieg linii tramwajowych z przystankami tuż przy dworcu. W jego okolicy ma powstać zabudowa usługowa wraz z parkingami podziemnymi, w tym tzw. Brama Miasta i Specjalna Strefa Kultury. Strukturalną funkcjonalną uzupełniać będą: zabudowa mieszkaniowa i zrewitalizowane obiekty elektrociepłowni EC1. Ta ostatnia zdobyła tytuł Bryły Roku 2013. Nowe ulice podzielą duże kwartały miejskie, żeby ułatwić inwestowanie wewnątrz nich. W ramach Nowego Centrum Łodzi uwzględnione zostały także obszary historycznej zabudowy, przede wszystkim przy ulicach: Sienkiewicza, Narutowicza, Kilińskiego i Tuwima. Elementami przestrzeni publicznych mają być nowe place miejskie, w tym tzw. Rynek Kobro, plac przed dworcem czy przed zajezdnią tramwajową. Zaplanowano także tereny zielone, m.in. bulwar wzdłuż ulicy Nowowęglowej.

Łódzkie Murale to widoczna na każdym kroku działalność artystyczna w krajobrazie miasta. Jest realizowana przez Fundację Urban Forms, która stworzyła stałą ekspozycję sztuki ulicznej na ścianach budynków w for-

mie wielkopłaszczyznowych starych i nowych murali, wykonanych przez artystów z całego świata. Najnowsze murale to sztuka nowoczesna i abstrakcyjna. Łódź to też wielki ośrodek akademicki i naukowy. Swoją siedzibę ma tu obecnie dwadzieścia osiem uczelni (sześć państwowych i dwadzieścia dwie niepaństwowe). Studiuje na nich ponad 122 tys. studentów, co czyni z Łodzi jeden z najważniej-



szych ośrodków akademickich w Polsce. Co roku są organizowane festiwale, które wzbogacają lokalny kalendarz o cykliczne imprezy, przyciągające wielu entuzjastów. Można wymienić: Festiwal Dialogu Czterech Kultur, Festiwal „Kolory Polski”, Explorer Festiwal i inne. W Łodzi funkcjonuje Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina, czternaście teatrów, dwadzieścia pięć muzeów, osiem kin, wiele galerii sztuki, kabaretów, musicali.

Dyrektorem Teatru Powszechnego do niedawna był tu znany aktor komediowy Roman Kłosowski, słynny Maliniak z „Czterdziestolatka”.

Jednak najważniejszym wydarzeniem kulturalnym, które było powodem mojego przyjazdu do Łodzi są Łódzkie Spotkania Baletowe. Jest to organizowane od ponad 45 lat co dwa lata wydarzenie wybitne o szczególnej tradycji i skali międzynarodowej.

moją, ale również z uwagi na to, że umożliwia polskiej publiczności bezpośredni kontakt z najwybitniejszymi tancerzami i choreografami z całego świata. Festiwal służy także wymianie kontaktów oraz doświadczeń między samymi artystami, reprezentującymi odmienne style choreograficzne i techniki taneczne. Za sprawą kontaktu z zagranicznymi artystami, daje on również tancerzom Teatru Wielkie-

sycznego zespołu baletowego „Les Ballets de Monte Carlo”. Spektakl ten był konfrontacją z legendarną pozycją baletowego repertuaru klasycznego „Jezioro łabędzie”, będącą zawsze wielkim wyzwaniem zarówno dla choreografa, jak i dla zespołu. Tym razem pierwowzór libretta jest jedynie źródłem inspiracji dla choreografa, a z oryginalnego baletu zachowała się muzyka Piotra Czajkowskiego. Za-



Fot. W. Lipczyński

Na przestrzeni lat festiwal stał się największą i najbardziej prestiżową imprezą baletową w Polsce. Jego ideą jest upowszechnianie sztuki baletowej i aktualnych osiągnięć choreograficznych, zarówno na polu tańca klasycznego, jak i różnorodnych nurtów tańca współczesnego. Łódzkie Spotkania Baletowe to unikalna propozycja nie tylko ze względu na bardzo różnorodną i stojącą na najwyższym poziomie artystycznym ofertę progra-

go w Łodzi szansę na rozwój i podniesienie własnych kwalifikacji. Dwudziesta trzecia edycja tego festiwalu odbyła się w dniach: 9 - 31 maja. Na jego program składały się: spektakl premierowy Teatru Wielkiego w Łodzi oraz pięć zagranicznych zespołów i pięć propozycji baletowych. Wyjątkową pozycją repertuarową był spektakl „Lac” w choreografii Jeana Christophe’a Maillot’a, do muzyki Piotra Czajkowskiego, w wykonaniu kla-

równo choreografia, scenografia, jak i kostiumy zostały bardzo uwspółcześnione. Zespół został założony przez księżną Karolinę, z domu Grimaldi w 1985 roku i ma w swoim repertuarze bardzo bogaty repertuar. Reprezentuje najwyższy poziom, gdzie kunszt wykonawców przerósł samą ideę wyrażania piękna muzyki przez formę ludzkiego ciała.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Fot. J. Maziejuk

Legenda „Cieślików” trwa

Na mecz z Lechią do Gdańska pojechali dwiema taksówkami z postoju – słynnymi czajkami. Zmieściła się cała drużyna – osiemnaście osób i sprzęt.

Rowy, maj 2002. Waldemar Pawlak, defensor, teraz prezes przedsiębiorstwa wielkiej marki Plast Box. Razem z Mariuszem Baturą (również defensor, prezes znanej firmy PUP „Gotech” w Gorzowie Wielkopolskim) organizują pierwszy Zjazd Absolwentów MKS „Cieślaki”. Już nie grają wyczynowo, ale każdy w domu, pod krzesłem, przechowuje piłkę.

Zjechali się licznie z całej Polski. Zaprosili trenera i przez trzy dni debatowali nad tak nieodległą, sportową przeszłością. Przywoływali z pamięci treningi, mecze, turnieje, obozy, strzelane i utracone bramki, parady bramkarzy.

Wiele lat temu oddział „Głosu” (wtedy przy ulicy Niedziałkowskiego 1) zorganizował turniej „dzikich” drużyn w piłce nożnej. Zgłosiło się 18 zespołów, które grały pod nazwami słynnych klubów (Santos, Real), a także swoich ulic (Piraci, Indianie), szkół (Czwórka), podwórek (Niedźwiadki). - Po turnieju dziesięciu wyróżnionych z rodzicami zaproszono do redakcji i przy biurku zapadła historyczna decyzja o powołaniu szkoły piłkarskiej - wspomina Zdzisław Jedynak. - Jesteśmy więc „dzieckiem” tej redakcji i mogliśmy grać nawet pod nazwą „Głosu”.

Janusz Żukowski: - Graliśmy z największymi klubami, na największych

stadionach, m.in. w Gdańsku, Warszawie, Olsztynie, Poznaniu, Krakowie, Łodzi, Szczecinie, a także w Berlinie.

Byli zapraszani, bo grali niezwykle ambitnie, dobrze technicznie, z polotem i widowiskowo. Często wygrywali. Poziom wyszkolenia, kultura osobista i dyscyplina taktyczna to dzieło trenerów i współpracujących z klubem nauczycieli wychowania fizycznego. Jako jedyni zostali zaproszeni i w obecności 30 tys. widzów zagrali przedmecz spotkania pierwszych reprezentacji Polski i Maroko.

Mieczysław Worona: - Na mecz z Lechią do Gdańska pojechaliśmy dwiema taxi z postoju, a były to słynne czajki - takie wtedy jeszcze w Słupsku jeździły. Zmieściła się cała drużyna - osiemnaście osób i sprzęt. Do Krakowa na mecz z Wisłą poleciliśmy samolotem. Były przeżycia i emocje.

Sławomir Kozłowski: - Należę do najmłodszych w klubie, ale historię znam od „a” do „z”. Mieliśmy tak piękne stroje i dresy, że wszyscy nam zazdrościli. Nawet działacze klubów ligowych dopytywali się, skąd taki sprzęt? Ale to była tajemnica naszego trenera.

Marian Jarota: - Przez kilka lat trenowaliśmy na boisku „Czarnych” przy ulicy Krzywoustego. Tam były bardzo trudne warunki, zwłaszcza jesienią. Mieliśmy jedną szatnię, którą

sami opalaliśmy. Oprócz mnie drzewo przynosili z domu Staszek Rysko i Marian Kawka. A myśleliśmy, że w zimnej wodzie pod jednym kranem na otwartym powietrzu. O prysznicach nawet nie myśleliśmy. To była prawdziwa szkoła życia, ale nikt nie narzekał.

Czesław Minda: - Nasze reprezentacyjne stroje były zgodne z barwami klubu: białoczerwone. Kolor czarny został włączony do naszych barw z uwagi na miejsce treningu i patronat „Czarnych”. Działacze tego klubu, jako kolejarze (konduktorzy, maszyniści) nosili czarne uniformy i kibice nazywali ich „smoluchami”. Ale nam to nie przeszkadzało.

Jak powstała nazwa MKS „Cieślaki”? Marian Boratyński z pomysłem pod sercem pojechał do Chorzowa. Pomysł był genialny, ale czy się uda? Gerard Cieślak propozycją był zaszczyczony. Kapitan reprezentacji Polski, który - na stadionie Śląskim - wielkiemu Jaszynowi strzelił dwie bramki - z wielką satysfakcją użyczył swojego nazwiska. Na pieczęcie było więc: „Szkółka Piłkarska im. Gerarda Cieślaka”. To zaszczyt i wielka odpowiedzialność. Nazwisko słynnego piłkarza na dzieci, młodzież i dorosłych podziało jak magnes. Setki chłopców ubiegało się wtedy o przyjęcie do MKS. Podczas meczu na stadionie 650-lecia



z trybun padły okrzyki doping: „Cieśliki! Cieśliki!” To od nich ta nazwa. Przyjęła się natychmiast. Zmieniono pieczętę i tak już zostało.

Gerard Cieślik wielokrotnie odwiedzał Słupsk, spotykał się ze swoimi słupskimi imiennikami. W ostatnich latach do Ustki przyjeżdżał z żoną Krystyną. I on i oni - to ogrom tematów, każdy nosi w sobie przecież bagaż wspomnień i doświadczeń. Ale w listopadzie 2013 roku Gerard Cieślik odszedł na zawsze. Pojechali pożegnać go i zostali samotną Legendą. Nie ma na świecie drugiej drużyny o takiej nazwie i historii.

Waldemar Pawlak: - Dla mnie kwestia Gerarda Cieślika jest sprawą najważniejszą w życiu. Jak do mnie ktoś przychodzi do domu to pierwsze co robię, to otwieram wejściowy pokój i mówię: - Wiecie kto to jest? To jest Gerard Cieślik i nasz zespół MKS „Cieśliki”. Ja się tym po prostu chwale i do końca moich dni będę zawsze powtarzał, że ta przygoda moja z tym nazwiskiem, z tym imieniem pozostanie w moim sercu.

Bożena Bugańska (TV Słupsk): - Pojechałam z „Cieślikami” do Chorzowa. Było to niesamowite przeżycie. Delegacje i sztandary z całej Polski, tysiące kibiców i nasza garstka. Widziałam jak mocno to przeżywali składając wieniec z napisem: „MKS CIEŚLIKI”.

Ustka, czerwiec 2015 roku. Do ośrodka „Albatros” zjechali członkowie elitarnego klubu MKS „Cieśliki”: Mariusz Batura (Gorzów Wielkopolski), Tadeusz Czubak (Szczecin), Roman Pozorski (Niemcy), Czesław Boguszewicz (Gdynia), Zygmunt Gilewski i Marian Jaro-

ta (Koszalin), Wiesław Duszkiewicz i Mirosław Muras (USA). Najbliżej mieli: Grzegorz Butrym i Roman Skórko, obaj mieszkają w Ustce. Na zjazd przybyło 49-ciu.

To był ich dziesiąty zjazd, a gościem honorowym był Dariusz Michalczewski - były mistrz świata w boksie. Popularny Tiger mieszkał w Słupsku, w barwach „Czarnych” w Krakowie zdobył mistrzostwo Polski. Był pupilem słupskiej widowni. Pod-

czył koszulki Tigera i miniaturki rękawic, w których zdobył mistrzostwo świata. Waldemar Pawlak wręczył Michalczewskiemu pamiątkowy gawron upamiętniający jego przyjęcie do klubu. Mistrz gastronomii Narcyz Wołosewicz sprezentował mistrzowi ringu specjalnie przygotowany arbuz wypełniony owocami.

- To były piękne dni - powiedział na zakończenie zjazdu były reprezentant Polski, Czesław Boguszewicz.



czas służby wojskowej stacjonował właśnie na strażnicy WOP w Ustce! Szybko zdobył sympatię wszystkich uczestników zjazdu. Barwnie opowiadał o przebiegu swojej imponującej kariery sportowej. Każdy chciał z nim zrobić zdjęcie. Mistrz otrzymał pamiątkową koszulkę, czapeczkę i został przyjęty do elity „Cieślików”, którzy odśpiewali mu „Sto lat”. Wzruszony czempion powiedział: - Pięknie śpiewacie... i nowym przyjaciółom wrę-

Co dalej? Mariusz Batura: - Podjęliśmy jednomyślną decyzję, że spotykamy i będziemy się spotykać co roku o tej samej porze. Już zarezerwowaliśmy terminy na najbliższe pięć lat. Będziemy tu wracać każdego roku, aby wspominać naszego patrona Gerarda Cieślika. Będziemy powiększać nasze grono o przyjaciół, tak jak dziś pozyskaliśmy Darka Michalczewskiego.

Legenda trwa.

Jerzy Przybylski, Słupsk

Śmierć „Kurska”

„Kursk” (K-141) był „atomowym” okrętem podwodnym typu 949A „Antej” (oznaczonego w kodzie NATO literą O jak Oscar II). W marcu 1990 roku w stoczni „Siewmasz” w Siewierodwińsku położono stępkę pod jego kadłub. Wodowanie nastąpiło 16 maja 1994 roku. Otrzymał nazwę miasta, koło którego w lecie 1943 roku doszło do największej bitwy pancерnej II wojny światowej. Zatonął 12 sierpnia 2000 roku.



Gotowy okręt wszedł do służby w Rosji w końcu grudnia 1994 roku, jako jedna z pierwszych jednostek wprowadzonych do linii po rozpadzie ZSRR, otrzymując od 1 marca roku następnego przydział do Floty Północnej (baza Ura Guba/Widiajewo). Był potężną jednostką o długości 155 i szerokości ponad 18 metrów. Na wodzie wypierał ponad trzystaście, a w zanurzeniu - ponad szesnaście tysięcy ton, co odpowiada mniej więcej niemieck-

kiemu krążownikowi typu „Adm. Hipper” i „kieszonkowemu” pancernikowi typu „Adm. Scheer/Adm. Graf Spee” z lat II wojny światowej. Tak zwany „atomowy” napęd okrętu składał się z dwóch zwykłych turbin, zasilanych parą przez dwa reaktory atomowe. Pracował na dwie śruby i zapewniał jednostce prędkość szesnastu, a w zanurzeniu ponad trzydziestu (!) węzłów. Załoga podwodnego krążownika składała się z ok. 120 oficerów, podoficerów i marynarzy.

Jednostki typu „Oscar” przeznaczone są do zwalczania dużych okrętów nawodnych - zwłaszcza lotniskowców - potencjalnego wroga. Znane jako „flattop killers”, uchodzą za największe i najsilniej uzbrojone wśród okrętów podwodnych nieprzenoszących pocisków balistycznych. Ich główną bronią ofensywną są straszliwe, manewrujące pociski rakietowe „Granit” (na Zachodzie nazywane „Shipwreck”). Uważa się je również za niezatapialne (!) ze względu

na podwójne poszycie kadłuba. Wewnętrzna warstwa tego poszycia wykonana jest ze stali o wysokiej zawartości niklu i chromu. Taki stop jest odporny na korozję i ma słabe właściwości magnetyczne, co utrudnia wykrycie okrętu przez lotnicze detektory anomalii magnetycznych (MAD) oraz czujniki min magnetycznych. Wewnętrzna warstwa wykonana jest ze stali o grubości 50 mm. Uwagę



Fot. Archiwum Autora

trwało sześć miesięcy, po czym okręt osiągnął status jednostki gotowej do działania w ramach floty. Nie obyło się jednak bez problemów; cała Flota Północna znalazła się w zapaści. W 1996 roku spekulowano nawet, iż „mało brakuje, aby załoga okrętu po prostu nie była w stanie wykonywać stawianych jej zadań”. Były kłopoty nawet z... wyżywieniem załogi, liczącej ponad sto osób. Kmdr Roszkow o pomoc poprosił władze miasta - patrona. Odzew był szybki i skuteczny: do bazy na dalekiej Północy zaczęły co kwartał wyruszać z Kurska ciężarówki z żywnością dla marynarzy. W roku 1997 kmdr Roszkow odszedł z floty do cywila. Nowym dowódcą K-141 został kmdr Giennadij Liaczin. W 1998 roku okręt trafił do stoczni w Siewierodwińsku na modernizację uzbrojenia i elektroniki. Po jej ukończeniu K-141 wypłynął w rejs na Morze Śródziemne, by tam „pokazywać flagę” Rosji po niedawnych walkach w byłej Jugosławii. Komandorowi Liaczinowi udał się nie byle jaki wyczyn - zdołał niepostrzeżenie przeprowadzić swój ogromny okręt przez Cieśninę Gibraltarską! Dopiero później bezduszne automatyczne boje sonarowe wykryły i zaczęły śledzić nowego „przybysza”. Po niemal osiemdziesięciu dniach w morzu, 19 października 1999 roku okręt powrócił do Widżajewa. Powitany z należną pompą, wkrótce został flagowcem swej floty.

Śmierć

„Kursk” zatonął 12 sierpnia 2000 roku, podczas wielkich letnich manewrów Floty Północnej na Morzu Barentsa, w których uczestniczyło około 30 jednostek, w tym ówczesny okręt flagowy, krążownik „Piotr Wielki” i cztery szturmowe okręty podwodne. Były to pierwsze takie manewry od ponad dekady! „Kursk” wyruszył na te ćwiczenia z pełnym zapasem ostrej amunicji (zwanym „jednostką ognia”), będąc jedną z niewielu jednostek floty rosyjskiej, uprawnionych do wychodzenia w morze w pełnym uzbrojeniu. W trakcie tych manewrów, zanim doszło do tragedii, z „Kurska” odpalono jeden pocisk typu „Granit” z ćwiczebną głowicą. Następnie okręt miał zaatakować flagowiec floty dwiema ćwiczebnymi torpedami, w tym prawdopodobnie jedną typu 298A PV kalibru 650 mm, która do zasilania

napędu wykorzystuje stężony nadtlenek wodoru (tzw. HTP) i naftę.

Zapewne wyciek wspomnianego nadtlenku wodoru przed odpaleniem pocisku spowodował o 11:28 czasu moskiewskiego (tj. 7:28 czasu uniwersalnego) eksplozję, równą wybuchowi ok. ćwierci tony trotylu. Wodoszczelne grodzie oddzielające przedział torpedowy od reszty okrętu były wtedy otwarte, przez co wybuch rozprzestrzenił się na dwa pierwsze z dziewięciu przedziałów okrętu zabijając siedmiu i raniąc, bądź ogłuszając trzydziestu sześciu marynarzy. Rozszerzający się pożar spowodował zapłon i wybuch pozostałych torped. Druga eksplozja, zarejestrowana o 11:30 czasu moskiewskiego, wyrwała w kadłubie dziurę o średnicy dwóch metrów. Fala uderzeniowa tego wybuchu zniszczyła wszystko na swojej drodze i zatrzymała się dopiero na przedziale reaktorów atomowych. Okręt przechylił się na dziób i opadł na dno, osiadając na głębokości stu ośmiu metrów na pozycji 69°37'00"N i 37°34'25"E.

Gdy kadłub opadał na dno, powinna uwolnić się automatyczna boja sygnalizacyjna pozwalająca określić położenie okrętu i ułatwiająca dotarcie ratownikom do wjazdu awaryjnego. Prawdopodobnie została ona jednak wcześniej wyłączona, ponieważ obawiano się, że podczas gwałtownych manewrów mogłaby się sama uwolnić, zdradzając pozycję okrętu innym jednostkom, uczestniczącym w manewrach. Dwudziestu trzech marynarzy pracujących w przedziałach od szóstego do dziewiątego ocalało i zgromadziło się w dziewiątym przedziale, czekając na pomoc. Ponieważ reaktory atomowe samoczynnie się wyłączyły, a akumulatorowe zasilanie awaryjne wkrótce się wyczerpało, ludzie pozostawali w całkowitych ciemnościach i z coraz mniejszą ilością tlenu. Być może mieli szansę wydostać się na powierzchnię przez właz ewakuacyjny, jednak było to bardzo ryzykowne.

Nie wiadomo, jak długo żyli uwięzieni ludzie - według niektórych teorii zginęli bardzo szybko, według innych przetrwali kilka dni. Mogłyby o tym świadczyć odnalezione przy nich po wydobyciu wraku chemiczne zestawy służące do oczyszczania powietrza z dwutlenku węgla i wzbogacania go w tlen. Prawdopodobnie pożar wywołany zamoczeniem takiego zestawu stał

zwracają także luksusowe warunki bytowe dla załóg tych okrętów, wyposażonych m.in. w baseny pływackie, sauny i solaria. Każdy z „Oscarów” może pozostawać pod wodą przez cztery miesiące!

Służba

Pierwszy dowódca „Kurska”, kmdr Wiktor Roszkow, mógł dobrać sobie odpowiednich ludzi do załogi swojego „podwodnego krążownika”. Szkolenie i zgrywanie załogi po-

się ostateczną przyczyną śmierci ocalałych z wybuchu marynarzy.

Jeden z trzech oficerów, którzy przeżyli wybuch, kpt. Dmitrij Kolesnikow, zanotował nazwiska 23 ocalałych, a przed śmiercią zostawił słynną później, ostatnią notatkę.

Akcja ratunkowa

Pozostałe jednostki uczestniczące w manewrach początkowo nie zgłaszały eksplozji sądząc, że to część zaplanowanych ćwiczeń. Dopiero wieczorem 12 sierpnia, wobec niemożliwości nawiązania kontaktu z „Kurskiem”, rozpoczęto akcję ratowniczą. Następnego dnia rano echosonda krążownika „Piotr Wielki” zlokalizowała „Kursk” leżący na dnie. Około 8:40 na miejsce przyплыł statek ratowniczy „Michaił Rudnicki”, który podjął nieudane próby połączenia kapsuł ratunkowych z lukiem awaryjnym dziewiątego przedziału. Równocześnie trwały próby dostarczenia na pokład tlenu i elektryczności.

Dopiero w poniedziałek, 14 sierpnia 2000 roku władze rosyjskie poinformowały media o katastrofie, początkowo twierdząc, że miała ona miejsce w niedzielę, nie w sobotę. Informowano też, że jest łączność radiowa z załogą, a następnie, że porozumiano się z nią stukaniem w kadłub.

W nocy z poniedziałku na wtorek, 15 sierpnia z ofertą pomocy w akcji ratunkowej wystąpili Brytyjczycy, Amerykanie i Norwegowie. Rosja odmówiła jej przyjęcia. Następnej nocy w kwaterze NATO toczyły się rozmowy w sprawie pomocy. W środę, 16 sierpnia po południu Rosja oficjalnie poprosiła o pomoc Norwegię i Wielką Brytanię. Tego samego dnia wicepremier Rosji Ilja Klebanow powiedział, że na „Kursku” nie ma już śladów życia.

W czwartek, 17 sierpnia rano brytyjski batyskaf ratunkowy LR5 wraz z brytyjsko-norweską załogą wyruszył na Morze Barentsa - na miejsce przybył w sobotę, 19 sierpnia wieczorem. Do tego czasu Rosjanie podjęli wiele nieudanych prób dotarcia do wnętrza „Kurska”. Dopiero w niedzielę, 20 sierpnia zezwolono norweskim nurkom na sfilmowanie wraku, a następnie opuszczenie się w dzwonne nurkowym i zbadanie kadłuba. W poniedziałek, 21 sierpnia 2000 roku Norwegowie dotarli do wnętrza „Kurska” przez właz awaryjny dziewiątego przedziału. Znaleźli tam ciała mary-

narzy i stwierdzili, że cały pokład jest zatopiony i nie ma szans, by ktoś przeżył. Akcja ratunkowa się zakończyła.

Podczas całej akcji rosyjskie dowództwo wielokrotnie ogłaszało sprzeczne ze sobą i nieprawdziwe komunikaty, narażając się na poważną krytykę mediów i specjalistów.

W 2001 roku wrak „Kurska” został przecięty. Jego większa część, poza dziobem zawierającym przedział torpedowy, została wydobyta z dna przez trzy firmy specjalistyczne, Mammoet i Smit Tak z Holandii (część Smit International Group) oraz Halliburton Subsea z Norwegii, przy czym Mammoet pełnił funkcję głównego wykonawcy. Brytyjska barka „Gigant-4” przetransportowała wrak do stoczni w Roslakuwie koło Siewieromorska. Na miejsce dotarł on w październiku 2001 roku.

Pozostałe na dnie fragmenty części dziobowej wysadzono 20 czerwca 2002 roku. Służba okrętu - od wcielenia w skład Floty Północnej do zatonięcia - trwała pięć lat, pięć miesięcy i dwanaście dni.

Przyczyny

1 lipca 2002 roku rosyjski minister przemysłu i nauki Ilja Klebanow, kierujący oficjalną komisją wyjaśnienia okoliczności zatonięcia „Kurska” ogłosił, że przyczyną katastrofy był wybuch torpedy. Spowodował go wyciek nadtlenu wodoru napędzającego torpedę typu 298A PV, który wywołał pożar i wybuch w wyrzutni torpedowej, a następnie eksplozję amunicji.

Spekulacje

Powstały też inne teorie wyjaśniające katastrofę, stanowią one jednak hipotezy nie podparte żadnymi ustaleniami faktycznymi. Według jednej z nich wybuchła superkawitacyjna torpeda WA-111 Szkwiał o napędzie rakietowym. Rosjanie postanowili ukryć ten fakt, gdyż stanowiłoby to złą reklamę dla ważnego produktu eksportowego.

Niemal natychmiast po katastrofie niezależna czeczeńska agencja informacyjna Kavkaz Center poinformowała, że przyczyną wybuchu była jakoby samobójcza akcja członka załogi - muzułmanina z rejonu Dagestanu, mająca stanowić poparcie dla Czeczenów walczących z Rosją (wśród załogi służyło dwóch marynarzy wyznających islam, z których jeden miał dostęp do luku torpedowego).

Francuski filmowiec Jean-Michel Carré w swoim filmie dokumentalnym „KURSK w mętnych wodach” - wyemitowanym m.in. przez TVP 2 7 września 2012 roku - zasugerował, że „Kursk” zatonął w wyniku kolizji z amerykańskim okrętem podwodnym USS Toledo (SSN-769) oraz trafienia torpedą Mark 48, wystrzeloną z amerykańskiego okrętu podwodnego USS Memphis (SSN-691). Niedługo po zatonięciu „Kurska” Amerykanie zredukowali zadłużenie Rosji względem USA.

Wiceadmirał Jewgienij Czernow, były dowódca okrętów podwodnych Floty Północnej sugerował, że w czasie manewrów po wynurzającym się „Kursku” przepłynął jeden z okrętów nawodnych i to spowodowało wybuch torpedy.

Post mortem

Okręt podwodny „Kursk” trafił (jak swego czasu USS „Thresher”) między innymi do filmu. W obrazie „Operacja Delta Force 2: Na ratunek” z 1998 zostaje on porwany przez terrorystów, którzy planują jego zatopienie. Sam okręt, jak i jego ostatnia załoga zostali uwiecznieni w szeregu utworów muzycznych. M.in. zespół „Strefa Mocnych Wiatrów” wykonuje utwór poświęcony załodze K-141; szwedzki heavymetalowy zespół Wolf nagrał utwór poświęcony „Kurskowi” na płycie „Legions of Bastards” z 2011 roku; rosyjski zespół rockowy DDT stworzył utwór „Kapitan Kolesnikow”; Kasia Kowalska poświęciła pamięci załogi „Kurska” utwór „Czekam, boję się”, pochodzący z albumu „5” wydanego w listopadzie 2000 roku.

Wojciech M. Wachniewski Słupsk

PS. Niemal dokładnie 64 lata przed zatonięciem „Kurska” - w sierpniu 1936 roku - w holenderskim Vlissingen położono stępkę pod Budowę nr 205. Był to kadłub okrętu podwodnego dla MW RP. Spływając na wodę w połowie stycznia 1938 roku, okręt ten otrzymał nazwę „Orzeł”. Wprowadzony do służby w początkach lutego 1939 roku - pierwszego września tego roku opuścił macierzystą Gdynię na zawsze. Zaginął wraz z całą załogą pod koniec maja roku następnego gdzieś na Morzu Północnym lub na podejściach do niego; daty, miejsca ani przyczyn utraty okrętu i śmierci 62 oficerów, podoficerów i marynarzy nie udało się ustalić do dziś...



